№ 23. Warszawa, dnia 28 Maja (9 Czerwca) 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.– Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50

Półrocznie . . . rs. 5

Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25

Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50

Rocznie . . . . . rs. 5

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. **3.**

SOBIESKI POD WIEDNIEM.

Z okazyi dwóchsetletniej rocznicy odsieczy wiedeńskiej panuje w świecie literackim i artystycznym ogromny ruch. Mnóstwo artykułów, wspomnień, notatatek historycznych, dzieła wartości naukowej i popularne, ryciny oddzielne i całe albumy, wszystko to podbudza jeszcze ogólne zainteresowanie się szerokich kół w kraju. Uroczystości jubileuszowe będą w całem tego słowa znaczeniu świetne, nie mówiąc już o tem, że sztuka polska zyska przy tej sposobności nowe dzieło Matejki, którego pojawienie się samo przez się, będzie stanowiło ważną chwilę w naszem życiu duchowem.

Każdy wedle możności spieszy do uświetnienia tej pamiętnej chwili i daje na co go stać. Jedni składają dary królewskie inni grosz ubogi, ale wiele wartujący, bo z dokrej woli, z poczucia moralnego.

Do cennych pamiątek tej chwili będzie należał poemat, nad którym pracuje Deotyma. Dość powiedzieć, że będzie to dzieło autorki „Polski w pieśni".

Poetka nie obrała sobie tematu wyłącznie okolicznościowego — temat to bowiem licujący doskonale z charakterem jej twórczości. Wiadomo bowiem, że Deotyma czerpie natchnienie głównie w duchu wiary i jej połowę swych pieśni poświęciła. Rozmodlona krzepi ducha w religii, promieniami wiary ozłaca smutki, nadzieją umaja postacie swych bohaterów i bohaterek, którzy więcej może mają w sobie ducha, aniżeli ciała.

Myśląc o piękności strony duchowej, nie zapomniała też poetka o szacie zewnętrznej, Obok bogactwa myśli uderza nas przepyszna forma Słowa wiążą się same w rymy i rytmy, stroją w najcudowniejsze obrazy, o barwach tysiącznych i blaskach słonecznych.

Dla takiej poetki przedstawiał Sobieski materyał obfity na epopeję oryginalną, odmienną od tych, jakie najczęściej spotykamy. Nie o samą bowiem wojnę chodziło autorce, lecz o walkę idei. Nie ozwycięztwo wojsk jednych nad drugiemi, lecz o zwycięztwo krzyża nad półksiężycem walczą rycerze poematu, którego początek jest już zupełnie wykończony, a z którym chcemy czytelników zapoznać.

Oryginalność poematu polega, raz jeszcze powtarzamy, na tem, że na pierwszy plan wysunięte są idee, nie armie, duch nie ludzie. Już pierwsza pieśń, którą streścimy, da dokładne wyobrażenie o całym utworze, który traktowany jest szeroko, a obfituje w motywa zaczerpnięte z głębi myśli ludzkiej.

Sercem ci śpiewam zacny bohaterze,
Ty, co chorągiew mordom poświęconą,
Bogu miłości złożyłeś w ofierze.
Wiele pocisków godziło w twe łono,
Lecz jak dwie tarcze osłoniły ciebie:
Wiara na ziemi, a gwiazda na niebie.
Wschód okiełznałeś i choć nas boli
Zdumiewająca niewdzięczność Zachodu,
Bądź błogosławion! Wywiodłeś z niewoli
Anioła ludzkiego rodu.

Apostoł dawno już głosił z Patmosu,
Że każdy naród ma swego anioła,
Co go prowadzi po bezdrożach losu
I posłannictwem, jakby hasłem woła.
Dziś mędrcy wiedzą, że jeszcze nad temi,
Jest anioł żywszy, anioł całej ziemi,

Dziejów przywódzca wiekami skrzydlaty,
Przed narodowych aniołów zastępem
Idzie i trzyma pochodnię oświaty,
Wiek nasz go nazwał *postępem*.

Czas jego siłą, ruch jego żywiołem.
W żelaznej puszczy porosłej od mieczy,
Obeliskowem kierując go czołem,
Ku tajnym celom wiedzie ród człowieczy.
Gdy łzy pokoleń wezbrane wyleją,
Głąb' ich odmierzą kotwicą, nadzieją,
Kiedy natrafi na góry lub tamy,
Ostrokręgową okrąża je drogą;
A wtedy ślepi, co dojrzéć nie mogą
Szczytu, wołają „wracamy!"

Płonne obawy! Duch wszystko pokona,
Ni go przepaście przestraszą, ni ciernie,
Matką mu wieczność...

Są chwile, w których ludzie ogarnięci zwątpieniem sami tamują drogę postępowi, wtedy duch wstecznictwa bierze na chwilę górę, ciemności podnoszą się wśród których słabi tracą otuchę i nadzieję.

Wówczas potrzeba wielkiego męża wskrzesiciela, który obudził śpiącą ludzkość, co by światem wstrząsnął, a przebudzonym wskazał drogę: tędy idźcie!

W taki dzień ciemny zastoju i trwogi,
Geniusz Koranu, apostoł zaboru,
Olbrzym od wieków postępowi wrogi,
Chyży w pochodzie, jak bożyszcze moru,
Piękny, a straszny, jak bożyszcze wojny,
Krwawą zdobyczą stu narodów strojny,
Ołowianemi związawszy łańcuchy,
Afrykę z Azyą, Azyę z Europą,
Skinął i zbudził starożytne duchy,
Co drzemią pod jego stopą.

Powstają na ten rozkaz potężni, a straszni: Nemrot, ludy Babilonów, starzy Egipcyanie, Cyrus zaborczy, Rustem, Wielki Aleksander, Omar, Tymur, Mohamed Wielki i niezliczona ilość małych duchów, a jednak groźnych. Składają pokłon geniuszowi Koranu.

Ten duch zniszczenia powiada, że na zachodzie jest jeszcze wielkie państwo: cesarstwo rzymskie, które nie uległo nawałnicy muzułmanizmu. Jest tam papież i cesarz niemiecki, których trzeba wygnać z ich siedzib, zgnieść i złamać ich potęgę.

Ale to trudne zadanie, bo tych mocarzy broni duch postępu. Jego więc trzeba zwalczyć, a wtedy zwycięztwo Koranu może być pewnem i trwałem.

Sroży się strasznie geniusz Koranu, na owe duchy podwładne, które dotychczas nie pomyślały o wytępieniu wstrętnego postępu, nie zalały Zachodu nawałnicą hord dzikich, a strasznych.

Z was niewolnicy, mamże straż daremną?
Wstawajcie! Gońcie po szerokim świecie
Za zwodzicielem, aż go przywiedziecie
W pętach, by czołem uderzył przede mną.
Podcięte skrzydła niechże raz już zwinie,
A ja z nich sobie podnóżek uczynię,
Wówczas dopiero świat się nie zawaha
Uznać, iż tryumf jest Bożym wyrokiem,
I powie; „Nie ma Boga prócz Allacha,
Mohamed jego prorokiem".

Wpierw więc trzeba stoczyć bój z duchem postępu, potem siły zbrojne Islamu wyruszą na zachód, pod Wiedeń. Nad murami naddunajskiego grodu wznosi się duch postępu i anioł myśli. Geniusz Koranu z swymi ciemnymi zastępy nadciąga i rozpoczyna się straszna walka, w której zwycięztwo przechyla się na stronę ostatnich. Anioł myśli puszcza się w drogę szukać pomocy.

Ludy, co dzisiaj patrzycie spokojnie
Na postać Wschodu korną i omdlałą;
Wiecież co wtedy ze światem się działo?
Niezmordowany, w staramiennej wojnie,
Rozrywający ze śmiechem sojusze,
Islam przeważał, ubezwładniał dusze,
Jakby lawina, dzień i noc grożąca.
Aż się i stało. Przyszedł koniec dzieła,
Lawina rosła od wiosen tysiąca
Dzisiaj, w tej chwili — runęła.

Pieśń tę możemy uważać jako prolog do całego poematu. Wszakże nastrój mistyczny towarzyszy poetce ciągle, jest ową złotą aureolą, która opromienia świętą sprawę panowania Krzyża.

Stopniowy rozwój poematu zapowiada coraz to nowe pomysły, idea krystalizuje i z zamętu walk wychodzi biała i wzniosła. Chociaż nie możemy ani na chwilę wątpić o zwycięztwie Krzyża, śledzimy przebiegu walki z wysokiem zainteresowaniem — to zasługa artystycznej budowy, która jest przepyszna. Strona techniczna zaleca się bogactwem słowa. Znajdujemy tu ustępy, które śmiało można porównać do rzeźbionych w marmurze ornamentów; obok linii śmiałych, wiją się iście koronkowe listki.

Nie omieszkamy Czytelniczki nasze zapoznać z dalszym rozwojem tego pięknego poematu—dziś na pierwszej musieliśmy poprzestać pieśni.

E. Zoryan.

O, stań się światło!...

O! stań się światło i zwalcz siłę zmroków,
Co swym całunem opasują ziemię,
Niechaj od blasku twojego potoków,
Ludzkie odrodzi się plemię.

O! stań się światło na bratnich serc niwie,
A ozłociwszy polot myśli chyżej,
Spraw niech nie zadrży w pochodzie trwożliwie
Ku wiedzy wyżej a wyżej!

O! stań się światło i na ludzkich torach,
Promieniem swoim stop lody przesądu,
I nie daj marniéć geniuszom w zaporach
Zastarzałego poglądu.

O! stań się światło, niech wieków szeregi
Zdobyte walką, wytkną synom drogi:
Czyste, bez kałuż, a z silnemi brzegi —
I niech zakwitną odłogi.

O! stań się światło, a strun rdzawych dźwięki,
Już się nie złamią w ludzkiej piersi echem,
I brzmiéć nie będą uciśnionych jęki,
Witane często z uśmiechem..

O! stań się światło i spój nasze dłonie,
Czynami: wiary, nadziei, miłości,
A na ołtarzu twym barwnie zapłonie
Jutrzenka dziejów ludzkości.

Konstancya W.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Dla Salomei zaloty szewca pana Mateusza Skowrońskiego, nie były obojętne. Wdzięk młodości dawno w niej przekwitł, każdy rok nowemi znaczył jej twarz zmarszczkami, byłaby więc chętnie przykuła do siebie małżeńskim ślubem poczciwego szewca, choć lubiącego poniedziałkowanie. Ale na nieszczęście pan Mateusz poruszał się do niej miłosnym afektem tylko po hulance, gdy podchmielony wracał do domu: na drugi dzień ani słówka o tem nie wspominał.

Wyspawszy się należycie, już o piątej rano zerwał się do pracy, przeżegnał się, zmówił pacierz i koląc szydłem i ciągnąc dratwę, śpiewał „kiedy ranne" i inne pieśni nabożne, ale półgłosem, aby sąsiadki nie zbudzić.

O szóstej obudził Grzesia i kazał mu przynieść dwie porcye kawy, czyli cykoryi z mlekiem na gorąco uwarzonej i chleba bochenek. Pożywiwszy się Mateusz nabrał lepszego humoru, zapalił fajkę i pykając dymek rozpoczął śpiew o koziołeczku co go posiadała babuleńka rodu bogatego.

Salomeja już siedziała przy pracy w swojej przegrodzie.

Usłyszawszy śpiew, poruszyła się i chrząknęła. Mateusz zaraz umilkł.

— Koziołki mu w głowie — szepnęła Salomeja—jakby jakiemu wyrostkowi co mu psich figlów nigdy nie brakuje.

— Ej! figlować to nie wadzi — odrzekł Mateusz — panny, wdowy temu radzi.

— Patrzajcie go, będzie mnie mieszał z wdowami...

— U wdowy chleb gotowy i troską nie mąci głowy.

Pochwała wdowy niezmiernie oburzyła Salomeję, poruszyła się tak, że aż stolikiem stuknęła, a Grześ rzekł do Mateusza:

— Panna Salomeja gniewa się na pana majstra.

— Na mnie, a o co?

— Że ją majster ścigał wczoraj z całowaniem i na zapowiedź chciał zanieść pieniądze.

— Ja, ścigałem z całowaniem i chciałem dać pieniądze na zapowiedź? — z największem zadziwieniem zapytał Mateusz. — Czyś ty chłopcze sfiksował!

— Także mi lala do całowania! — mruknęła Salomeja, zawsze za parawanem.

Mateusz uśmiechnął się a Grześ rzekł:

— Żeby panna Salomeja została panią majstrową, to u nas byłoby jak w niebie.

— Takbym tłukła, gdzieby padło — odezwała się Salomeja — i póty tłukła, aż bym pijaństwo ze łba wytłukła.

— A co, słyszy pan Majster?

Majster skinął na chłopca, a ten udając, że na to nie zważa, mówił dalej:

— I mnieby było lepiej, słowo honoru, miałbym macochę terminatorską...

— Co ten huncwot gada? -- zapytała Salomeja — o jakiej on prawi macosze terminatorskiej?

— Ej! tak zwyczajnie, proszę panny. Pan Mateusz jest majstrem moim, to jakby ojcem terminatorskim, więc pani majstrowa byłaby macochą terminatorską.

— Wykrętu mu nigdy nie braknie — mruknęła Salomeja — znać kto mu pryncypałem.

— Z wykrętu — odrzekł majster — do zamętu to bliższa droga, jak od nosa do brody.

— To prawda — potwierdził Grześ — dlatego, żeby w domu nie było zamętu, to gdybym był mężczyzną, z nikim tylko z panną Salomeją ożeniłbym się, jakby mnie chciała.

Mateusz zachichotał, ale zaraz śmiech przydusił, Salomeja zamamrotała a Grześ dodał:

— Słowo honoru, bo przecie dopiero jestem chłopcem a nie mężczyzną.

— Ty bisurmanie! — zawołał majster tłukąc podeszew. — Zamknij gębę bo za wiele się rozgadałeś.

— Sobie to wczoraj należało powiedzieć — mruknęła Salomeja.

Wtem do mieszkania wszedł Jan z chłopczyną swoim Józiem. Wypadek chciał, że szewc Mateusz miał siedzibę w tej samej oficynie w której niegdyś mieszkała Kraworska ze Stasią, tylko o dwa piętra niżej. Chłopczyna nie przeczuwając, że znajduje się pod tym samym dachem, pod którym młoda jego matka spędziła najpiękniejsze chwile życia, wspinając się na schody i co chwila utykając, ciągle dziwił się, że w Warszawie ludzie tak wysoko mieszkają.

W rozkładzie domowym nic się nie zmieniło, schody były te same ciemne i brudne; przez wierzch oszklony, stanowiący rodzaj dachu, z szybami zapaćkanemi i zakurzonemi, wpadało jak dawniej, światło zamglone promieni słonecznych. Do poręczy, której Stasi rączka zawsze się trzymała, gdy szła do kościoła i wracała do domu, chłopczyna nie mógł dosięgnąć, tylko chwytał się za pręty przez czas wyszczerbione i popruchniałe. Gdyby mógł okiem duszy spojrzeć na nie, możeby dostrzegł ślady jej dotknięcia, możeby wyczytał dzieje jej serca tak młodo obudzonego do życia i tak przedwcześnie zabitego.

Gdy wdrapali się na drugie piętro, Jan przystanął dla odpoczynku, pod samemi drzwiami prowadzącemi do dawnego mieszkania matki chłopczyny. Józio wspiął się na palce do dziurki od klucza i powiedział, że widzi aż do okna w którem siedzi jakaś młoda pani zajęta szyciem. Nie była to Stasia, mogiłka nad nią zieleniła się murawą na dalekim wiejskim cmentarzu... tu zostało tylko wspomnienie przechowane zapewne tylko przez Stanisława jeżeli jeszcze żywym błąkał się po ziemi. Któż odgadnie co się z nim stało.

Z mieszkania jego tak samo jak dawniej, rozwijał się prześliczny widok: okno było otworzone a tuż przy nim siedział młody człowiek i rysował przy stalugach, plecami zwrócony do dawnego mieszkania Stasi. Gdyby myśli mogły być widomemi i biedz w przestrzeń jak ptaki, roje ich zapełniałyby pokoik a byłyby tylko cząstką marzeń Stanisława o swej ukochanej. Dziś nie tu dla niej miejsce.

On przepadł bez wieści, ona w krainie strasznej dla ciała, błogiej dla duszy. On może czuwa jeszcze i cierpi, ona spoczywa i raduje się, on tęskni i snuje marzenia, ze smutkiem patrząc w przeszłość a w przyszłość z rozpaczą, ona ogarnia wieczność i nieskończoność i jak kwiaty zbiera wspomnienia unoszące się nad jej ziemskiemi prochami.

Kto szczęśliwszy, on czy ona?

Jan o tem nie myślał a tembardziej chłopczyna matki zupełnie nie pamiętający. Rysy jej jednak twarzy bardzo przypominał własną buzią, szczególniej, gdy się uśmiechał.

Był to ten sam wdzięk niewinności, ta sama naiwna szczerość, których nic z niej wyrugować nie mogło, choć gwałtem się o to starano. Oczy jednak najwięcej przypominały Stasię i kto ją znał zaraz w chłopczynie odgadłby podobieństwo, tak były głębokie i pełne życia, tak pociągały do siebie i zachwycały.

Panna Salomeja usłyszawszy wchodzących, odsunęła troszkę zasłonę i z pod niej cichaczem przyjrzała się nieznajomemu. Spodobał się jej powagą i płaszczem jaki miał na sobie: Józia w myśli nazwała aniołkiem, co wiele znaczyło, bo za dziećmi niebardzo przepadała.

Gdy Jan wymienił jej nazwisko zdumiała się wielce, a gdy dowiedziała się, że obraną została za nauczycielkę małego chłopczyny, pokraśniała z dumy, że przed panem Mateuszem w nowej stanęła roli i że tacy ludzie jak pułkownik mają ją w pamięci.

Umowa prędko stanęła, nietylko już o naukę Józia, ale i o pomieszkanie przy trzeciem oknie i Jan zaraz się tego dnia rozgospodarował na nowej siedzibie.

— Niech pan o swego wnuczka, zapewniała Salomeja — zupełnie będzie spokojny. Roboty biorę do domu to go będę miała na oku, a z nauką to sobie poradzę, bo nie w prostactwie urodziłam się i wychowałam.

— Brat mój nieboszczyk — odezwał się Jan— a jego dziadek rodzony, przeznaczył go na księdza...

— Na księdza! — zawołała Salomeja — święty stan. Gdybym była mężczyzną, tobym zaraz została zakonicą...

— A ja księdzem gdybym był kobietą--domówił Grześ.

Rozwinęła się z tego mała żartobliwa zwada, Salomeja usprawiedliwiała się z pomyłki, Grześ potakiwał, majster uśmiechał się i dogadywał, Jan słuchał w milczeniu a Józio wodził oczami po obrazkach zawieszonych nad łóżkiem przyszłej jego nauczycielki.

Wreszcie Salomeja zniecierpliwiła się.

— Otóż widzi pan — odezwała się do Jana — w jakim ja tu żyję labiryncie i tak od rana do nocy, to nic dziwnego, że mi się czasem w głowie przewróci i nie wiem na prawdę czym mężczyzną czy kobietą.

Mateusz dał znak Grzesiowi, aby umilkł, nie chcąc gniewu lokatorki, którą lubił a nawet szanował, do ostateczności posuwać, a pragnąc ją udobruchać zaczął śpiewać:

Już księżyc zaszedł psy się uspiły,
I coś tam klaszcze za borem,
Pewno mnie czeka mój Filon miły,
Pod umówionym jaworem.

Grześ przyłączył się do śpiewu majstra, czasem go wyprzedzał, czasem sfałszował, ale pieśń brzmiała ciągle i wywarła swój skutek. Salomeja udobruchała się i gdy Jan wyszedł za sprawunkami, dała chłopczynie jakąś książeczkę z obrazkami, a sama pomału, półgłosem, troszkę przez nos zaczęła sąsiadom swoim w śpiewie dopomagać.

W takiem to otoczeniu mały Józio rozpoczął nowe życie tak różne od tego w jakiem się chował w zubożonej już osadzie swego dziadka i na pustkowiu w Przetykach. Wszystko tu było dla niego nowością i ludzie i całe otoczenie. Tam był swobodny, bujał po dniach całych zabawiając się z rówieśnikami, poił się świeżem powietrzem tak potrzebnem dla każdego organizmu, szczególniej też dopiero się rozwijającego, tu wszystko było inaczej, ani swobody tej nie miał, ani zabawy, ani powietrza. W Przetykach czas mu schodził przy zbieraniu suchych badyli na ogień, przy pilnowaniu gotującej się strawy i troszkę przy nauce z Janem, bo umiał nienajgorzej czytać, a i przy gnieceniu gliny i ustawianiu wygniecionych z niej cegieł, tu po nauce z Salomeją i pogadance z nią, nie było co robić. Przypatrywał się też robocie szewców, zbierał okrawki, przysłuchiwał się śpiewowi Mateusza, a gdy się cokolwiek ośmielił, łączył swój cienki głosik z ich śpiewem i chwytał słowa pieśni, dziwacznie je nieraz przekręcając.

Jedyne dla niego szczęście było, że go wszyscy lubili, nawet Grześ żadnej mu psoty nie robił a nawet uważał się niejako za jego opiekuna i protektora. Nazywali go wszyscy Długosikiem albo Długoszem, gdy o nim mówiono. Oczyny jego pełne serdeczności i niezwykłego blasku, były tym talizmanem, którym wszystkie serca do siebie przyciągał. Nieświadomy swego pochodzenia, na wszystkie wypytywania nie umiał inaczej odpowiedzieć tylko, że nazywa się Józef Długosz i że ojciec jego jest gdzieś daleko za wielkiemi morzami.

— Długosze to wielka familia — zrobiła raz uwagę Salomeja — może chłopiec do niej należy, kto tam to odgadnie.

— Ej! — odezwał się Mateusz — toćby go tak w poniewierce nie zostawili.

— Panom różnie się zdarza — odrzekła Salomeja. — Znam dworskie życie, to wiem co się tam dzieje czasami. Dla bogactwa, dla koligacyi, to tam umieją z kozła zrobić barana.

— No, ani gadania, że tak bywa, ale znam takich co mają nazwiska wielkich panów a jednak do nich nie należą. Znam Skowrońskich bogaczów a równie nie jestem ich krewniakiem, chociaż radbym się przyznać do którego, żeby mnie w mojej biedzie zapomógł, żebym choć w uczciwym kredycie mógł mieć towar, za który drą mnie niemiłosiernie lichwiarze.

— Ho! ho! za daleko pan sięga.

— A cóż to dalekiego? — zapytał Mateusz. — Panowie tylko przewalają się w zbytku. Powozy, konie, lokaje, kucharze, roją się przy nich jak mrówki; pałace mają i na wsi i w mieście, inne w zimie inne na lato, a w nich tyle pokoi, tyle salonów, tyle apartamentów, że człek nieświadomy może zginąć jak w lesie. Kiedym był czeladnikiem u Lebanowskiego, co się nosił w kontuszu i złocistym pasie, to raz zaszłem do pana Długosza z robotą i wiem co mówię. Przez całe lato pałac jego stał pustkami, a ja męczę się w mojej dziurze co w niej i papuga pańska nie chciałaby siedzieć i uciekałaby ze skrzekiem do przysmaczków, jakich ja i w Wielkanoc nawet nawet nie widzę.

— U państwa Bdołów — odezwała się Salomeja — to była gromada piesków pokojowych a do nich sługa, co je kąpała, czesała i na spacer

wyprowadzała. Jak pani wyjeżdżała na miasto to zawsze dwoje zabierała z sobą w nowe wstążeczki przystrojone a w zimie w okrywki, które własną ręką haftowała.

— Otóż widzi panna — zawołał Mateusz — czy to nie lepiej psu u pana jak mnie w szewctwie pomiędzy ludźmi?

-- Każde miało swoją miseczkę porcelanową— mówiła dalej Salomeja lubiąca się przechwalać ze swojem dawnem dworactwem: na śniadanie dostawały potroszku kawy z bułeczką, na drugie śniadanie...

— A bodaj wszystkie wyzdychały! — zawołał z wielkiem oburzeniem Mateusz. — Panowie to lepsze serce dla psów mają, jak dla nas biedaków. Bodaj przepadł taki porządek.

Podobnych rozpraw Józio dosyć się nasłuchał. Ponawiały się one przy każdym kłopocie pieniężnym, gdy Mateusza duszono o wypłatę za skóry, Salomeję o miesięczne komorne, a skarbonki mieli puste. Musiano się więc fantować, płacić procenta często kapitał przenoszące, co naturalnie dopełniano z największem przekleństwem tych u których papugi i psiaki lepszą otoczone były opieką jak ludzie.

Na małem Długosiku rozmowy takie nie pozostawały bez wpływu: wywierały na niego wrażenie jakby opisy potworów skazanych na wieczne dokuczanie ludziom mieszkającym na poddaszach. Raz nawet zapytał Jana:

— Czy to prawda dziaduniu, że w Warszawie to wszyscy panowie tacy źli jak ten co mnie obił w Przetykach?

— Ej! nie wspominaj mi o nich — odrzekł Jan z wielką niechęcią. — Radbym zapomnieć wszystkiego czem nas skrzywdzili.

Nie było to objaśnienie jakiego się chłopczyna domagał, zrobił z tego jednak ten wniosek, że panowie w Warszawie tacy sami są, jak ów ekonom co go wysmagał i że tak ich bać się należy, jak on niegdyś bał się jego.

Panna Salomeja nie była wielkim potentatem naukowym, ale do początkowej nauki, wybór z niej był bardzo trafny. Chłopczyna chętny i bardzo pojętny, widoczne robił postępy; od książki jak niegdyś jego matkę oderwać go trudno było, a lubił jak ona o wszystko się wypytywać.

Jan zwykle jedną dobę spędzał przy rogatkach, drugą w domu, chłopczyną niewiele się mógł zajmować i cała opieka główna nad nim pozostawała przy Salomei. Chłopczyna jednak nie mógł ciągle siedzieć przy nauce, przykrzyło mu się, Grześ więc wysłany gdzie na miasto zawsze brał go z sobą i ćwiczył w psich figlach, jak Mateusz wybryki jego nazywał, w których wielkie miał zamiłowanie. W tych wycieczkach uczył się napaści i ostrożności, aby porwać owoc ze straganu, zaczepić żyda uderzeniem lub naśladowaniem kwiku wieprza i potem zmykać jak oparzony z uwagą jednak, aby nie wpaść w zasadzkę.

Gdy majster poniedziałkował, chłopcy mieli bal prawdziwy: Józio uczył się władać szydłem i dratwą, a Grześ komenderował nim i za zbierane piątki przy łataniu obuwia, posełał na miasto po bułki lub gruszki. I tak czas schodził biednemu sierotce, do miasta przyzwyczaił się, Salomeję pokochał, Mateusza polubił, ale za Grzesiem przepadał i w każdem zdarzeniu uważał go za wyrocznię.

Przy końcu drugiego roku, Józio już był zupełnie przez Grzesia wyedukowany. Laufrowałby po świecie choćby dzień cały, gdyby nie Salomeja co go do książki naganiała i kazała głośno czytać co tylko jej wpadło pod rękę. W święta jednak, gdy Jan był na służbie, Salomeja poszła do znajomych, a Mateusz chrapał przyspasabiając się do pohulanki, oba chłopcy wymykali się z domu i wciskali do ogródków w których grały trąby a bębny huczały.

W jednym z takich, właściciel pragnąc zabawę ożywić i ściągnąć jak najwięcej widzów, ustroił wielki kopiec na środku ogrodu jak fortecę, zrobił w koło niego ślimakiem kręcącą się drogę i na wierzchołku jej zatknął chorągiew. Zgraja chłopców umyślnie do tego zwerbowana, miała kopca jedną częścią bronić a drugą zdobywać, a potem orkiestra grająca tryumfalnego marsza, obszedłszy ogród w koło miała wejść na wierzch góry i tam wygrywać dalej wpośród ogni bengalskich i wrzasku zwycięzkiej czeredy.

Grześ naturalnie nie pominął tak pięknej sposobności do zabawy. Był dowódzcą strony dobywającej, a Józio jego adiutantem. Zdobywcy zwali się polakami a obrońcy turkami i już przed zaczęciem przedstawienia krzywo na siebie spoglądali.

— Słuchaj Długosik! — mówił Grześ — powiedz naszym, żeby każdy o pręt się wystarał, bo tym turkom trzeba dobrze skórę wygarbować.

Józio popędził do swoich, stojących na uboczu a potem wrócił do Grzesia, aby jako adiutant być ciągle gotowym na jego rozkazy. Oba wyglądali niezmiernie zabawnie, surduty mieli ze starszych osób na siebie przerobione i to na wyrost, za wielkie, z dużemi kołnierzami odstającemi od szyi, ze zbyt długiemi rękawami i z czapkami na tył głowy spadającemi, od których daszki do czoła tylko dochodziły. Dla nadania sobie lepszej powagi chustkami kraciastemi, pookręcali szyje, a kołnierzyki od koszuli powyciągali aż do uszów. Pewni że przepysznie wyglądają, jak prawdziwi generałowie, Grześ ciągle Józia zatrudniał różnemi poleceniami, krzyczał, fukał, przywoływał do siebie, wyprawiał, a adiutant mniemany kręcił się, wiercił i spełniał wszystko co mu polecono.

Niedaleko od nich jakieś towarzystwo z mężczyzn i kobiet złożone, z zajęciem przyglądało się przygotowaniom improwizowanych artystów. Wtem jedna z pań na powtórzone po kilka razy nazwisko Długosza, zwróciła szczególną baczność, a gdy Grześ znowu niem przywołał Józia, podniosła się i zbliżyła do chłopców.

(D. c. n.)

Z PAMIĘTNIKÓW LITWINA.

I.

SZKOŁY SŁUCKIE.

Na początku bieżącego stulecia odwieczne szkoły słuckie, niegdyś wyłącznie kalwińskie, przez Radziwiłłów założone, już zreformowane na gimnazyum, według zasad ogólnych, używały jeszcze dobrej sławy na Litwie. Słuszne przyczyny taj wziętości były z jednej strony dobór nauczycieli, jeszcze aż do połowy bieżącego wieku przeważnie kalwinów, między którymi było zawsze kilku pastorów, wysoko ukształconych, a nawet uczonych; z drugiej strony jakaś atmosfera patryarchalna, ojcowski stosunek szkoły do dziatwy, wynikający bez wątpienia jeszcze z dawnych tradycyi. Później stopniowo i jedno i drugie uległo zmianom, tak że dziś trudno już szukać nawet cienia owej dawnej popularności szkół słuckich.

Z drżeniem serca, nowo wstępująca dziatwa przekraczała progi obszernego i wygodnego gmachu szkolnego, położonego przy ulicy, słusznie Szeroką nazwanej, przy której także z obu stron, w blizkości gimnazyum, rozsiadały się domki, zajmowane przez nauczycieli. Nad drzwiami szkoły stał jeszcze napis łaciński: Initium sapientiae timor Domini (początkiem mądrości jest bojaźń Boża), tłomaczony tak przez żaków: „na nic zapięcie, Cimoch i Dominik". Były to imiona stróżów szkolnych, po dawnemu jeszcze zwanych „kalefaktorami" (palaczami, od palenia w piecach); aluzya zaś do zapięcia miała związek ze smutną ceremonią kar sobotnich) (Sobotnikiem zwaną), przy której owi dygnitarze miotły i rózgi odegrywali pewną rolę, zajmując się odpinaniem i zapinaniem...

Na dachu szkoły była sygnaturka z dzwonkiem, którego głos donośny rozlegał się po miasteczku, wzywając dziatwę do szkoły lub oznajmiając zakończenie lekcyi. Taki dzwonek był bardzo pożyteczny, gdyż uczniowie musieli stosować się do niego, nie zaś do rozmaicie idących zegarów domowych i dlatego opóźnienia były rzadsze niż dzisiaj, gdy dzwonki istnieją tylko wewnątrz szkoły.

Cimoch był mistrzem w dzwonieniu, a nie było to dzwonienie zwyczajne, tak przynajmniej nam się zdawało.

Wyobraźnia młodzieńcza chwytała rozmaite modulacye brzęczącego odgłosu i tłomaczyła je po swojemu. Oto, zwołując uczniów na lekcye, dzwonek brzmi silnie i donośnie, niby budząc śpiochów i nagląc ich do pośpiechu; chwilami dźwięczy ponuro, niby groźbą kary dla opieszałych, to znowu uderza gorączkowo i nieregularnie, jakby na gwałt lub na pożar, zapowiadając niejako blizkie wyczerpanie się swej cierpliwości, powtarza kilkakrotnie te same modulacye, jak dobry pedagog, używający często metody powtarzania, raptem zajęczy tęsknie i niecierpliwie, wyrażając tem tęsknotę matki-szkoły za swą dziatwą; to znowu naśladuje głos kwoki, zwołującej pisklęta, albo dźwięczy uludnie i pieszczotliwie, nęcąc i wabiąc obietnicą rozmaitych przyjemności. Na zakończenie lekcyi poczciwy dzwonek brzmi znowu inaczej: to wesoło, ciesząc się wraz z dziatwą z ukończenia mozołów, to melancholijnie, jakby szkole było ciężko rozstawać się ze swemi pisklęty to znowu gniewnie i groźnie, niby jak *memento* za popełnione w ciągu dnia wybryki.

Krążyły nawet między młodzieżą wierszyki, jako harmonia naśladowcza owego dzwonka szkolnego. Tak np. zaznaczano uludne jego pochlebstwa przy wzywaniu do szkoły i lekceważenie, okazywane dziatwie po skończeniu lekcyi, gdyż zwołujący do klasy dzwonek śpiewał:

Panięta, książęta!
Do klasy! do klasy!

Po skończeniu zaś lekcyi brzęczał:

Obszarpańcy, oberwańcy!
Precz z klasy! precz z klasy!

Egzamina wstępne dla wstępujących do gimnazyum były wogólności prawie zawsze łatwe: snać szkoła nie wymagała od uczniów doskonałości, poczuwając się sama do obowiązku uzupełnienia możliwych braków; tak np. nie wymagano jeszcze

znajomości składni od uczniów klasy *wstępnej* jak to gdzieniegdzie dziś bywa.

Po złożeniu egzaminu, trzeba było „jawić się” dyrektorowi. „Jawić się” było to wyrażenie techniczne, sakramentalne, obowiązkowe, odpowiedź na stereotypowe pytanie dyrektora, zwracane do każdego z uczniów, przedstawiających się mu w towarzystwie rodziców lub opiekunów. Owo „jawienie się”, było wielce kłopotliwe z powodu uniformu. Wtedy bowiem uczniowie szkół średnich nosili mundur zupełnie podobny do używanego przez policyantów — ciemnozielony z kołnierzem czerwonym. Przy tem każdy żak winien był posiadać dwa mundury: codzienny, kształtem surduta o dwu rzędach guzików, bez galonów na kołnierzu i galowy frak, na dziewięć guzików w jeden rząd zapinany, z galonem na kołnierzu szczelnie pod brodą zapiętym. Zabawnie zaprawdę wyglądały dzieci dziewięcioletnie w takich fraczkach, posiadających wogóle niemniej jak 25 guzików metalowych, o połach koniecznie długich, które nieraz plątały się po ziemi. Do tego sztywna czapka mundurowa na fiszbinach („na rogach” jak mówiono wtedy na Litwie) i szczególnego kroju spodnie, z tyłu zapinane.

Na szyi ciężka chustka czarna, z pod której nie wolno było wystawić najmniejszego białego rąbka kołnierzyka. Włosy musiały być króciutko ostrzyżone („pod grzebień” jak mówiono), rękawiczek, kaloszy i parasoli nosić nie było wolno, a watowany szary płaszcz z peleryną — tylko w zimie. Przystrojony w ten galowy uniform, zapięty i ściśnięty, nowy rekrut szkoły stawał przed obliczem dyrektora, pana Ł., zresztą niebardzo srogiego, chociaż jego nazwisko nieco przypominało ową smutną ceremonię, w której, jak powiedziałem, uczestniczyli zwykle Cimoch i Dominik.

Tylko pod względem uniformu dyrektor Ł. był surowym i nieubłaganym i znajdował zawsze, że mundur niedobrze leży, że ma za długie poły lub rękawy, że jest za ciasny, lub za szeroki. Miał też u siebie na stoliku kawałek kredki, przygotowany wyłącznie dla „jawiących się” uczniów i tą kredką, z biegłością krawiecką, kreślił na połach lub plecach mundurów stosowne linie, wykazując, w czem krój jest błędny i jak być powinno. Miał także na stoliku nożyczki do obcinania kołnierzyków, gdyby te przypadkiem wymknęły się któremu uczniowi z pod chustki, a nawet niekiedy własnoręcznie obcinał niemi „czupryny”, ale do tego rzadko przychodziło.

Co do munduru, nic dziwnego doprawdy, że ten nigdy należycie do żadnego ucznia nie przypadał, bo zwykle był pożyczony lub wynajęty na ten raz jeden od żydków, dla uniknięcia znacznych kosztów umundurowania.

Inspektorem czyli prefektem gimnazyum był pastor W., po jego zaś śmierci poczciwy R. Przez czas jakiś miejsce prefekta zastępował nauczyciel K. Był on niegdyś kolegą szkolnym naszego ojca i rzecz dziwna, nie będąc nawet dalekim krewnym, był łudząco do niego podobnym, tak że powiadano, iż nawet matka naszego ojca z trudnością niekiedy odróżniała obydwu. Pan K. wzrostu miernego, dosyć otyły i pękaty, nadrabiał miną i udanym gniewem, w gruncie zaś był człowiekiem łagodnym i niezbyt energicznym.

Ulubioną rozrywką uczniów w pauzach pomiędzy lekcyami była walka na pałasze, cała klasa dzieliła się na dwa obozy, poskręcawszy płaszcze, (gdyż nie zdejmowano ich w zimie w klasie niezbyt ogrzanej), używano ich jako oręża, przy czem walczący wskakiwali na ławki. Hałas, ztąd pochodzący, sprowadzał do klasy pana K., a choć zapaśnicy prędko na miejsca wracali, tumany kurzu świadczyły wyraźnie o niedawnej walce. Zaperzony K. wskakiwał zwykle sam na ławki i biegał po nich na wszystkie strony, grożąc „dwoma pęczkami” rózeg (ulubione jego wyrażenie), ale najczęściej kończyło się na pogróżkach, a dziatwa dusiła się od śmiechu, na widok skaczącego wysoko pulchnego profesora. Trzeba przytem wiedzieć, że podłoga w klasach urządzoną była pochyło i miała znaczny spadek ku katedrze, tak że ławki piętrzyły się amfiteatralnie jedna nad drugą. Ułatwiało to znakomicie dozór nad uczniami i karność szkolną, gdyż nauczyciel wszystkich miał zawsze na oku i przednie szeregi nie zasłaniały przed nim tylnych.

Nauczycielem religii katolickiej czyli „kapelanem”, jak wtedy mówiono, był ksiądz P. człowiek łagodny i poważny, powszechnie szanowany, którego każde słowo miało wielką wagę u uczniów, a wymówka choćby najlżejsza i najłagodniejsza, doprowadzała winowajców do płaczu. Przestrzegał on pilnie odbywania spowiedzi, uczęszczania na nabożeństwo i służenia do mszy. Spowiadaliśmy się cztery razy do roku, na mszę chodziliśmy tylko w niedzielę i święta, a służyć do mszy obowiązani byli wszyscy kolejno. Przed spowiedzią było wiele kłopotu z rachunkiem sumienia odbywanym z trwożliwą troskliwością i spisywaniem grzechów na kartce. Do kościoła uczęszczaliśmy regularnie, bez względu na pogodę, ciągnąc w długim „ordynku” początkowo do starego kościoła modrzewiowego, na którym wypisany był rok założenia 1492 (ztąd wiadome przysłowie: „słucka fara starsza niż kalwińska wiara”), a potem, gdy starą farę, grożącą zawaleniem, zamknięto, chodziliśmy do wyrestaurowanego na parafialny kościoła pobernadyńskiego, oddzielonego tylko mostem od gimnazyum. Dziwnie była szczera i gorąca pobożność młodzieńcza: wszyscy modliliśmy się z książeczek i nieuczonemi głosy, ale gorliwie śpiewaliśmy suplikacye i psalm „Bóg nasz ucieczką i mocą”, który był zakończeniem nabożeństwa.

(D. c. n.)

Przegląd Teatralny.

Kilka słów o Teatrze Małym. Przedstawienie komedyi Ulica Pigalle Nr. 115.

Teatr Mały przy ulicy Danielewiczowskiej, którego letnie pomieszczenie przy ulicy Królewskiej nosi nazwę *Teatru Nowego*, głównie był założony w tej myśli, ażeby klasy mniej dostatnie, uboższe nawet, korzystając z cen przystępniejszych, mogły uczęszczać na przedstawienia, obok zabawy znajdując w nich pokarm zdrowy i poczucie estetyczne w sobie wyrabiając. Oprócz tego, Teatr Mały, zastępując szkołę dramatyczną Derynga, miał być polem praktycznego kształcenia się młodych artystów. W dnie świąteczne miano w nim dawać sztuki przeważnie ludowe. Prassa publiczna i mieszkańcy miasta serdecznie przyklasnęli temu pomysłowi, istotnie pożytecznemu.

Prędko jednakże Teatr Mały począł zmieniać swój pierwotny charakter, odstępować od swej zasadniczej myśli, aż obecnie przekształcił się w jakiś bulwarowy paryzki teatrzyk, dający po największej części farsy mocno opieprzone, których wpływ ujemnym tylko być może, a na młodzież i niedorostki chciwie uczęszczające i frenetycznie oklaskujące wszystkie tłuste koncepta, fatalny. Sztuki ludowe zupełnie zaniechane zostały, choć one zawsze napełniały salę i dobrze były przyjmowane a grane wybornie. Przytem teatr ów stał się niedostępnym dla mniej zamożnej ludności przez nadmierne podwyższenie cen, nie harmonizujące zgoła ani z jakością pokarmu jaki w nim podają, ani z jego zastawą. Publiczność chętnie płaci wyższe ceny na opery w których śpiewa panna Reszke, toż samo i w Teatrze Rozmaitości, gdzie przy zawsze starannej, a często świetnej wystawie, w sztukach oryginalnych, lub tłomaczonych lecz wyborowych, słucha pierwszorzędnych artystów; ale kazać jej płacić też same prawie ceny, ażeby wśród nędznych, czasami brudnych dekoracyi, słuchała fars trywialnych i bezsensowych po większej części, lub operetek na wszystkich ogródkach ogranych, to niczem usprawiedliwić się nie daje.

Toż samo się stało i co do drugiego celu, ażeby Teatr Mały był szkołą praktycznego kształcenia się młodych artystów, rzeczy niezmiernie ważnej dla przyszłości naszej sceny. W nędznych farsach żaden artysta nie wyrobi w sobie poważniejszego poczucia sztuki, gorzej jeszcze, bo nawet smak estetyczny skrzywi i zatraci. Dowiedzieliśmy się przytem, że niektóre osobistości, ani trochę nie wyróżniające się wybitniejszym talentem, posiadają jakoby monopol ról wszystkich, nic prawie drugim nie zostawiając; jedne są zanadto faworyzowane, inne całkiem zaniedbywane. W takich warunkach postęp w zawodzie artystycznym, rozwój zdolności lub okazanie wrodzonego talentu, staje się niemożebnym; pierwsze osobistości mają się za samorodne geniusze i nie chcą pracować, drugie choćby chciały, nie mają zachęty ani pola do pracy. A kto szkoduje na tem? publiczność i sztuka. Jednakże ta publiczność płaci, więc ma prawo głosu w tej rzeczy i na nią oglądać się należy. Znajdując je uzasadnionemi i sprawiedliwemi, powtarzamy te głosy, w nadziei, że reżyserowie sięgną myślą dalej, po za dzienne sprawy i przedstawią komu należy ten stan anormalny, zwłaszcze Teatru Małego. Komitet zaś literacki, którego członkowie sami nieraz występowali w prassie, gorąco podnosząc podobne kwestye, z wybornem zrozumieniem znaczenia i wpływu sceny; od którego zależy wybór sztuk i ich obsada, a więc i możność niedopuszczania szkodliwych i oburzających monopolów, który będąc przyboczną radą Dyrekcyi, złożony z miejscowych obywateli, literatów i dziennikarzy zarazem, przy niej reprezentować powinien publiczność, potrzeby jej i życzenia, nie dopuści ażeby pod jego okiem złe się zakorzeniało i nie pozwoli, ażeby kiedyś powiedziano o nim, iż nie chciał lub nie umiał użyć na dobro sceny, stanowiska i wpływów swoich.

Ostatnia sztuka z jaką wystąpił Teatr Nowy, jest komedya, a raczej farsa 3 aktowa, z francuzkiego tłomaczona, pod tytułem: „Ulica Pigalle Nr. 115”, pióra Al. Bisson'a. Utwór ten, w treści swej mało znaczący, jednakże gmatwaniną komicznych i różnorodnych sytuacyi, ilością wesołych konceptów bez zbytniej trywialności i nieprzyzwoitego opieprzenia, wzbudza śmiech pusty i zajmuje publiczność, która zgromadziła się na pierwsze jej przedstawienie, mniej licznie niż zwykle to bywa, snać niedowierzając już wyborowi sztuk na scenie tej się ukazujących. Jest to także symptomat potwierdzający jedno ze zdań wyżej

wypowiedzianych i na który reżyserya uwagę zwróciéby powinna.

Treść sztuki następująca: młody adwokat Bernard, stara się o córkę bogatych mieszczan, państwa Loriot i dobrze jest przyjęty, jeden tylko Quiquemel, stary przyjaciel i wspólnik Loriota, z natury podejrzliwy i chcący swego siostrzeńca ożenić z jego córką, sprzeciwia się temu małżeństwu i ażeby mu przeszkodzić wywiaduje się o przeszłości młodego adwokata, który mieszkał dawniej przy ulicy Pigalle pod Nr. 115. Usiłowania te do niczego nie doprowadzają, aż nareszcie otrzymuje pewną wiadomość, że Bernard w tymże domu zamordował pierwszą swą żonę, posądzając ją o wiarołomstwo. Ale już po niewczasie, państwo młodzi właśnie wracają ze ślubu. Jednakże udziela ją rodzicom, którzy są w rozpaczy i postanawiają ani na krok nie opuścić córki i bronić ją przed podejrzeniami i gwałtownością męża.

Tymczasem młody adwokat nie wiedząc jak straszna zbrodnia ciąży na nim, ma sobie powierzoną obronę rzeczywistego zabójcy, Bernarda także, który też mieszkał kiedyś w tymże domu, lecz którego on wcale nieznał. W swoim więc gabinecie przygotowuje się do tej obrony i powtarza sobie mowę, którą myśli rozczulić sędziów i przysięgłych. Występuje w niej niby jako sam oskarżony, ogisuje gorącą miłość swoją i kończy temi słowami: „Sędziowie! Jam ją tak kochał, tak ubóstwiał, a ona mnie zdradziła!... więc ją zabiłem!" woła najtragiczniejszym głosem. Rodzice, którzy go podsłuchują, wpadają na te słowa, pewni że on już o zamordowaniu ich córki zamyśla, rzucają się przed nim na kolana, błagając z płaczem, aby jej życie darował. Adwokat nic nie rozumiejąc, sądzi, że poszaleli. Jest to jedna ze scen najzabawniejszych. Komplikuje sytuacyę przybycie pani Taupin, odźwiernej owego domu Nr. 115, wezwanej przez Loriota, dla wyjaśnień i szczegółów o popełnionej przez Bernarda zbrodni, baby strasznej, która w starym Loriocie poznaje swego z przed trzydziestu laty dawnego kochanka. Oprócz tego mnóstwo epizodycznych faktów i fakcików nagromadziła bujna wyobraźnia autora, ażeby przez całe trzy akty utrzymać słuchaczy w ciągłem zajęciu i wesołości, aż do wyjaśnienia, że adwokat Bernard nie jest Bernardem zabójcą. Utwór ten napisany przytem z werwą i humorem, długo zapewne bawić będzie publiczność.

Zabawna ta farsa miała zatem powodzenie, które w części zawdzięcza też i artystom, a mianowicie p. Morozowiczowi, wybornie grającemu rolę Loriota, zwłaszcza w scenie z pistoletami był znakomity i do najwyższego doprowadził ją komizmu. P. Grubiński zawsze dobry we wszystkich rolach, które bierze na siebie, jako podejrzliwy Quiquemel, opowiadający o wszystkich wybrykach swej żony, która go zdradzała a w końcu porzuciła i za którą on tęskni, równie był dobrym, oraz p. Piasecki, adwokat Bernard, starannie i inteligentnie opracował swą rolę. O innych, tak artystach jak i artystkach, nie mogąc powiedzieć nic korzystnego, przemilczamy, z wyjątkiem tylko pani Linkowskiej i panny Płużańskiej. Pierwsza jako artystka doświadczona, sumiennie każdą rolę studyuje i umie doskonale najmniejsze jej szczegóły wyzyskać, we właściwym tonie i odpowiedniej mierze zawsze się trzymając; druga zaś, początkująca w małej tylko roli służącej Wirginii, wdziękiem i zręczną powierzchownością, szlachetnością ruchów i wrodzoną widocznie dystynkcyą, ściągnęła na siebie uwagę publiczności, która chciałaby widzieć ją w większej roli, spodziewając się znaleźć w niej pożądany dla sceny nabytek.

Słyszeliśmy właśnie, że ta młoda osoba, złożywszy jeszcze w jesieni egzamin artystyczny, okazała rzeczywiste sceniczne uzdolnienie i miała naznaczony debiut, dlaczego dotąd nie przyszedł on do skutku, nie wiemy. Wszakże w takiéj sprawie ostateczny wyrok należy do publiczności, dlaczegóż nie dają jej możności sądu i wypowiedzenia swego zdania? Czyżby i ta artystka należała do Pariasów owego zakulisowego świata, o których z umysłu zapominają? Być może, bo podobno w onym świecie ten system coraz silniej się zakorzenia. Jednostki mogą dobrze wychodzić na tem, lecz sztuka i publiczność tracą z pewnością. Trzy nasze sceny tak bardzo potrzebują wznowienia żeńskiego personelu, nietyle co do ilości, jak co do jakości pod względem uzdolnienia, inteligencyi, a nawet wdzięcznej i ujmującej powierzchowności, bo jakże niemiłe publiczność odbiera wrażenie, gdy patrzeć musi przez godzin kilka, na niezgrabne, nieestetyczne, lub wcale niesalonowe gesta i ruchy, a to u nas zbyt często się zdarza.

Prawdzic.

POGADANKA.

W pokornej postawie, z błagającą miną staję przed memi Czytelniczkami, prosząc o przebaczenie, że do poprzedniego numeru nie napisałem pogadanki.

Mógłby kto powiedzieć, że jestem zarozumiały a złośliwy mógłby twierdzić, iż w skutek tego przewinienia zapanowała ogólna radość.

Być to może, mimo tego mówiąc szczerze, nie pisałem bom... był smutny.

Cóż to za usprawiedliwienie — zapytacie?

Mówię prawdę. Byłem bardzo smutny, a to tem dziwniejsze, że smutek ten opanował mnie po powrocie z Saskiego ogrodu. Tak tam było gwarno, takie tłumy zapełniały aleje, tyle ożywienia widziałem dokoła... a trochę może zasępienia. A jednak im dłużej wpośród tych tłumów przechadzałem się, tem silniejszy smutek mnie ogarniał.

Dlaczego?

Pozwólcie zostawić to pytanie bez odpowiedzi. Często niepodobna wytłomaczyć zkąd się smutek bierze...

„Są chwile w życiu ludzkiem..." tak zaczynał jeden z moich kolegów wszystkie swe artykuły. I ja tak dziś powiem. Są chwile, w których smutek spada całym ciężarem, tłoczy pierś, sępi czoło i opędzić mu się nie można, a może i nie chce. Dlaczegóż bo ciągle być wesołym? Czasem smutek potrzebny koniecznie, czasem bardzo nam przystoi jego żałobna szata.

Wtedy nic nie może wpłynąć rozweselająco. Tłumy gwarne, strojne, ożywione, że już nie powiem wesołe, powiększają jeszcze rodzący się smutek. Kiedy nam się zdaje, że na smutek pora, wesołość drugich nas razi, a nawet boli.

Tak było i ze mną.

Za to dziś podzielę się z wami kilkoma dość sensacyjnemi wiadomostkami. Dzieją się dziwy na świecie, które zdumiewają nawet dziennikarskich reporterów. Muszą to więc być rzeczy istotnie niezwykłe, skoro budzą podziw tych, którzy tak często powtarzają: „nie ma nic nowego pod słońcem!"

Oto fakt (?!) jeden.

Pewien morderca w San Francisco, którego policya energicznie poszukiwała, postanowił bądź co bądź ocalić swe miłe życie. Natchnienie przychodzi mu w pomoc, poddając doskonały pomysł. Oto idzie do muzeum figur woskowych, staje pomiędzy figurami i — udaje także okaz woskowy. Przez trzy tygodnie stoi nieruchomo dzień cały, w nocy naturalnie odpoczywa. Nikt nie odróżnił figury żywej od woskowych. Energia policyi przesiliła się tymczasem, a zbrodniarz umknął szczęśliwie.

Jak to sztuka udawania jest wydoskonalona! zawoła może niejeden. Człowiek udaje nieruchomą figurę!

A ja się temu wcale nie dziwię, bo przypatrując się życiu i ludziom, widziałem coś jeszcze doskonalszego. Nie jedna, ale tysiące lalek woskowych udaje, nie przez trzy tygodnie, lecz przez długie lata, żywych ludzi, a my ślepi nie poznajemy się na tem. Dopiero kiedyś fakta niezbite przekonywają nas, żeśmy byli w obłędzie.

— A toż to lalka woskowa! — wołamy.

Jest pomiędzy temi lalkami, udającemi ludzi podobieństwo z owym dowcipnisiem z San-Francisco. I one są także dowcipne, tym dowcipem nas łudzą, maskują nim brak duszy i serca, a to wszystko dla ukrycia nieraz zbrodniczej swej nicości.

A jakże często im się to udaje, ile ofiar pada w skutek tego zamaskowania. Niktby nie zliczył biednych pogorzelców, obok których stoją ci, co tylko poparzeni zostali, dalej idą obrabowani z mienia moralnego i materyalnego, a szereg zamykają zabici...

Udawanie jest sztuką bardzo dziś uprawianą, a w jej rozwoju aktorzy z zawodu poślednie zajmują miejsce. Po za teatrem udaje się więcej i lepiej. Że tak jest istotnie mogłaby stwierdzić statystyka tak zwanych: „złapanych". Każde udawanie ma naturalnie jakiś cel. Główną jego pobudką jest... chęć zysków, jakichkolwiek bądź, chociażby z największą szkodą łatwowiernych. Że np. Rembertowski udawał przez długie lata poczciwego człowieka to łatwo zrozumiéć, bo mu ta sztuczka przyniosła wcale pokaźną sumę, lecz udawania bez celu nie rozumiemy wcale. Ile razy podobny fakt się zdarzy, szukamy koniecznie przyczyny i celu, może ich nie odnajdziemy, lecz mamy przekonanie, że być musiały.

A jednak zagadki takie często bardzo trudne do rozwiązania.

Niech mi np. kto wytłomaczy fakt taki.

W Arnstadt, w Turyngii żyła stara kobieta, zbierająca jałmużnę na przytulisko. W 69 roku życia umarła. I co się okazało? Oto, że owa kobieta wcale nie była kobietą, lecz przebranym mężczyzną! Przebranie to datowało się od lat dziecięcych.

Fakt to arcyciekawy, a rozjaśnieniem jego zajął się nawet sąd.

Nie jestem wprawdzie sędzią śledczym — czem się zresztą wcale nie martwię — lecz tym razem podzielam ciekawość. Wyprowadzając z tego faktu wnioski ogólne, mogę tylko ubolewać nad mężczyznami w Turyngii, kiedy się muszą przebierać za kobiety. Alboż to tak źle być mężczyzną?

Z wędrówki po obcych krajach, wracajmy do swoich. Nie brak i u nas ciekawych wypadków i wieści. Życie nie stoi, lecz kroczy naprzód, raz wolniej, to znów szybciej. Jedni stoją hardo, drudzy uginają się pod jego ciężarem, inni wresz-

cie upadają zupełnie. Na mężnych i nieugiętych patrzą wszyscy pełni podziwu.

Szczęśliwy istotnie, kto potrafi przejść z głową podniesioną do góry i nie ugiąć się ani razu pod ciężarem życia.

Do takich kolosów, olbrzymów ducha, należy mąż, który 24 czerwca będzie obchodził jubileusz dwudziestopięcioletniej pracy około dźwignięcia polskiego malarstwa. Tym mężem Jan Matejko, artysta genialny i szczęśliwy. Z geniuszem przyszedł już na świat, szczęście wywalczył sobie pracą wytrwałą, bo szczęśliwym można nazwać tego kto dopiął celu, do którego zmierzał, zrobienia malarstwa polskiego pierwszorzędną potęgą.

To też, jako ojcu naszego historycznego malarstwa należy się Matejce hołd ogólny i nie wątpimy, że kto tylko będzie mógł, pospieszy go złożyć.

W Krakowie zawiązano komitet urządzający uroczysty jubileusz Matejki. Będzie to dzień świąteczny dla Krakowa; zjadą się liczni goście i oddadzą cześć człowiekowi, któremu już przed kilku laty ofiarowano berło. Artyści polscy przygotowują dla Matejki upominek z prac swoich, a album w ten sposób powstałe będzie pięknym pamiętnikiem szkoły polskiego malarstwa.

Dar taki jest dla Matejki istotnie bardzo odpowiedni. Ci wszyscy dawcy to jego znajomi — jednych był nauczycielem, ze starszymi szedł w jednych szeregach, dziś więc hołd taki należy się dzielnemu przewodnikowi.

Mamy błogą nadzieję, że po jubileuszu dwudziestopięcioletnim sprawimy jeszcze i pięćdziesięcioletni. Wtedy dzieła Matejki starczą na królewską galeryę...

Podobny upominek jak dla Matejki, naturalnie skromniejszy, przygotowują dla Józefy Reszkówny.

Będzie to dar wdzięczności od malarzy warszawskich, za to, że śpiewaczka ta urządza koncert na rzecz budowy nowego gmachu towarzystwa zachęty sztuk pięknych. W oprawie ze starego gobelinu będą się znajdowały szkice umyślnie dla Reszkówny wykonane.

Artystka będzie rada takiemu upominkowi oryginalnemu, posiadającemu niemałą wartość i pamiątkową i artystyczną.

Bo też istotnie zasłużyła na dar wdzięczności. Śpiewa ośmnaście razy bezpłatnie, już to dla teatru, już na inne cele dobroczynne.

Kto żyje śpieszy na jej występy: i w skwarze największym ledwo można usiedzieć, ale magnes cudownego śpiewu widocznie jest silniejszy. Brawa i oklaski podnoszą jeszcze temperaturę.

Es. Zet.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Skutkiem nieuregulowanych brzegów i piaszczystych gruntów, Wisła corocznie zmienia koryto, mniej lub więcej widocznie. Z powodu tej zmiany łożyska zamieniają się w mielizny, a w miejscach które w bród przejść było można tworzą się głębiny i rwące prądy. Ale najstarsi ludzie nie pamiętają takich zmian jak w roku bieżącym, w którym zmiana koryta Wisły doszła jak się zdaje do *maksimum*. Wzdłuż Warszawy na blizko ośmiowiorstowej przestrzeni, Wisła została podzielona wielką mielizną, wytwarzającą tu i owdzie wyspy i nie dozwalającą ani przepłynąć swobodnie na drugą stronę, ani kierować nawet lżejszemi statkami. Kiedyż nareszcie projekt regulacyi zamieni się w rzeczywistość!

*** W odcinku „Kuryera Warszawskiego” podane są zajmujące szczegóły o pani Malwinie Ogonowskiej, rodem z Ukrainy, którą losy zaniosły z rodzinnych stepów pod klasyczne niebo Italii. Przed dwudziestu przeszło laty pani M. O. pospieszyła za mężem do Krasnojarska, lecz gdy klimat tameczny był szkodliwym dla cierpiącego na piersi męża, nie szczędząc starań i trudów przeniosła się z nim do Krymu, skąd po zwalczeniu niezliczonych przeszkód, udała się z ukochanym chorym do Sycylii, z zamiarem zamieszkania w Syrakuzie. W drodze stan zdrowia pana O. dotkniętego piersiową chorobą tak znacznie się pogorszył, iż musiano zatrzymać się w Bolonii, gdzie też niezadługo do lepszego przeniósł się świata. Wdowa pozostała w Bolonii, gdzie ją zatrzymuje grób męża i od lat kilkunastu stale tam zamieszkuje.

Niepocieszona po stracie męża, postanowiła w pracy szukać ulgi. Pani O. jest osobą wysoko ukształconą, znającą doskonale kilka języków; tłomaczy na język włoski dzieła polskie, literatów włoskich, interesujących się naszą literaturą, obznajmia z polskim ruchem literacko naukowym, uporządkowała i spisała katalog dzieł w językach słowiańskich znajdujących się w bibliotece uniwersytetu bolońskiego, a nadto od nowego roku wykłada na tymże uniwersytecie język polski i rossyjski.

Pani Malwina Ogonowska jest pierwszą Polką, miewającą wykłady w uniwersytecie i to jeszcze w jednym z najstarszych i najsławniejszych w Europie. Wprawdzie w dawnych czasach kilka kobiet wsławiło się wykładami na uniwersytecie bolońskim, ale były to rodowite włoszki. W XIV wieku była tam profesorem uczona Nowella d'Andrea; później Laura Bassi wykładała tam matematykę i fizykę; następnie pani Manzolino była w Bolonii nauczycielem anatomii, a w pierwszej połowie bieżącego stulecia, Klotylda Tambroni, wykładała studentom bolońskiej wszechnicy język grecki. Pani O. jest tamże piątą z kolei kobietą-profesorem. Ma cztery lekcye na tydzień; dwie języka polskiego, dwie rossyjskiego, a prócz tego odbywa z uczniami korepetycye i raz na tydzień miewa wykłady dla osób dorosłych, które nie będąc studentami uniwersytetu, pragną uczyć się języka polskiego. Pani O. jest osobą zamożną i za trudy i pracę swoją nie pobiera żadnego wynagrodzenia.

Oceniając jej pracę i zasługi, pan Magni rektor uniwersytetu bolońskiego, wystosował do niej urzędowe pismo dziękczynne (dnia 29 stycznia r. b.), w którem pisze: „Liczne uczęszczanie publiczności na lekcye pani, daje wszelką rękojmię korzyści mogących z nich nastąpić. Składam więc pani najwyższe podziękowanie w imieniu uniwersytetu, którym mam honor zarządzać, za czyn tak wielki przynoszący mu pożytek, a wypływający ze źródła wielkiej miłości, jaką pani żywisz dla swojej rodzinnej ziemi. Ucząc jej języka nauczysz nas pani kochać ją jeszcze więcej i cenić w niej to wszystko co ona w swej literaturze i w całym swym ruchu umysłowym posiada.

*** Teofil Lenartowicz miał dwanaście odczytów w Akademii bolońskiej „o literaturze słowiańskiej.” Prelegent mówił o pieśniach ludowych polskich, czeskich, illiryjskich, ruskich, o pierwszych pisanych prawach Cara Duszana i Prawdzie Ruskiej Jarosława; o statucie Wiślickiem Kazimierza Wielkiego, o Epopei ludowej i znaczeniu królodworskiego rękopismu; o pieśni i pułku Jegora i pieśni Boga Rodzicy. Wszystkie odczyty budziły niezwykłe zajęcie i gromadziły licznie tak studentów uniwersytetu, jakoteż inteligentną publiczność.

Jako uznanie trudów poniesionych przez Lenartowicza bez żadnego wynagrodzenia od rządu, na przedstawienie władzy uniwersyteckiej, król Humbert dyplomem z dnia 22 maja, ozdobił naszego wieszcza orderem korony włoskiej.

*** Włoskie ministeryum wojny ogłosiło statystykę *malarii* według sprawozdań rad prowincyonalnych, dozwalającą ocenić rozszerzanie się i doniosłość tej plagi. Na 69 prowincyi włoskich, zaledwie sześć wolne są od tej strasznej klęski, trapiącej mieszkańców gorączką miazmatyczną i strasznemi jej skutkami. W dwudziestu szczególniej prowincyach *malaria* straszne szerzy spustoszenie; obliczono że w armii 40,000 ludzi podlega tej groźnej chorobie, obciążającej budżet monarchii włoskiej 10 milionami fr. rocznie, na utrzymanie w szpitalach chorych żołnierzy. Straty mienia publicznego wynikające z tej zabójczej choroby są nieobliczone, z powodu, że dotyka ona tysiące ludzi dojrzałych, w skutku czego wielkie przestrzenie gruntu pozostają nieuprawione i nieprodukcyjne.

Spostrzeżono, że *malaria* stała się jeszcze gwałtowniejszą od czasu zbudowania kolei żelaznych; albowiem dla podwyższenia gruntu pod plantę kolei, trzeba było po obu stronach rozkopywać ziemię, dla zyzkania materyału do budowy nasypów, co wytworzyło zagłębienie w których zbierają się wody stojące, przyczyniając się do zatruwania powietrza. Na pewnych liniach kolei żelaznej, zdrowi i silnie zbudowani urzędnicy, nie mogą przetrwać gorączki *malarii*, i według obliczeń, koleje te tracą rocznie 30 urzędników na tysiąc.

*** W połowie z. m. wybuchały znowu gwałtownie uboczne kratery Etny pod Nicolosi; wyrzucają jednak tylko potężne słupy ognia i dymu, wybuchy lawy nie miały dotąd miejsca. Ziemia drży nieustannie w całem otoczeniu wulkanu, w skutku czego mieszkańcy Nicolosi i Mascalmi, zmuszeni są obozować pod gołem niebem. Ponta i Tremestieri, znane z prześlicznych willi bardzo ucierpiały. W całym regionie Etny, od dość długiego już czasu, srożą się prawie bez przerwy gwałtowne burze; dzień po dniu prawie panują tam na przemian orkany i nawalne deszcze. Obserwator Etny, profesor Silvestri zapowiada wielki wybuch wulkaniczny.

*** Ks. Karol Curci miał w Rzymie kilka konferencyi o różnych ważnych kwestyach, do najuczeńszych i najstaranniej obrobionych pod względem formy i stylu, zaliczyć należy wypowiedzianą dnia 2 marca r. b., której przedmiotem było samobójstwo. Ważną tę kwestyę moralną traktował mówca raczej argumentami wziętemi z doświadczenia, badania zjawisk społecznych niż systematycznemi dokumentami — a mowa jego obfitowała w fakta, cytaty, daty statystyczne a nadto odznaczała się werwą prawdziwie poetyczną.

Prelegent przyczyny samobójstwa widzi bardziej w moralnych niż w fizycznych chorobach. Zwalczał niemal niezbicie zwykłą wymówkę wszystkich samobójstw — pomieszanie zmysłów; zaprzeczał jakoby wszyscy samobójcy byli obłąkanymi, wykazując cyframi statystycznemi, że najczęściej samobójstwo było „czynem wolnej woli i dokona-

ne z rozmysłem.” Odmawiał także samobójstwu aureoli odwagi i jakiegoś bohaterstwa jaką je tak hojnie dziś obdarzają, nazywając je przeciwnie „nikczemnem tchórzostwem”. „Kto ucieka przed życiem dlatego, że mu brak męztwa do znoszenia mężnie cierpień, bólu, a choćby nawet hańby, jest tak samo tchórzem jak żołnierz uciekający z placu walki na widok nieprzyjacielskich szeregów.”

Z dwóch przyczyn podmiotowej i przedmiotowej, doprowadzających do samobójstwa, mówca pierwszą widzi „w utracie wiary w nieśmiertelność duszy i w życie przyszłe”, drugą „w mniemaniu, że klęska jaka nadeszła nie da się naprawić, że jest ostateczną, trudniejszą do zniesienia niż śmierć i że niepodobna osięgnąć szczęścia, ostatecznego i powszechnego celu życia.” Samobójstwo będące wynikiem zupełnej bezbożności, rzadziej przytrafia się u kobiet. O ile jest ono zbrodniczem i haniebnem, o tyle wzniosłem i szlachetnem jest oddanie życia dla wielkiego, szlachetnego ideału — tu za przykład ks. Curci podaje: żołnierza umierającego w walce za ojczyznę, siostrę miłosierdzia i misyonarza.

Zgodnie z nauką św. Tomasza, mówca wykazywał, że *obrzydzenie sobie życia* wiodące do samobójstwa, wynika „z nadmiaru wrażeń, od których zmysły się psują. Gdy człowiek spada do stanu bydlęcia i żyje tylko obecnością, zmysłami, gdy ducha nie wznosi do przyszłości nadziemskiej — wtedy zadowolniony jest dopokąd posiada wszelkie środki zaspokojenia żądz jego, w końcu przecież przychodzi przesyt, przychodzi chwila gdy poczuje nieużyteczny ciężar życia, świat mu zbrzydnie, śmierć przedstawi się jako oswobodzenie. Takiż koniec czeka niekiedy i ludzi wyższego umysłu, niewierzących w nieśmiertelność duszy. Jako jedyny środek przeciw tej strasznej pladze społecznej, mówca wskazuje prawdziwą i głęboką wiarę — ona jedna może stać nam się tarczą i puklerzem przeciw słabości naszej, pociechą w cierpieniach, ona jedna dodać może sił i męztwa do stawienia mężnie czoła walkom i przeciwnościom życia.”

Perseweranza uważa konferencyę ks. Curci za jeden z najlepszych traktatów w tym przedmiocie.

*** Komuż nieznany i jak wiele osób podlega przesądowi, że gdy przypadkiem trzynaście osób zasiądzie do stołu, jedna z nich niezawodnie umrze w ciągu roku. Otóż pewien amerykański zwolennik statystyki, postanowił wykazać na podstawie statystycznych danych, bezzasadność owego przesądu. Zebrane przez niego tablice śmiertelności wykazały, na zasadzie prawdopodobieństwa, że aby z pewnej liczby osób zebranych w jednem miejscu, jedna w ciągu roku umarła, potrzeba aby się ich znalazło: dziesięcioletnich 134, piętnastoletnich 131, dwudziestoletnich 129, dwudziestopięcioletnich 124, trzydziestoletnich 119, trzydziesto-pięcioletnich 112, czterdziestoletnich 103, czterdziesto-pięcioletnich 90, pięćdziesięcioletnich 73, pięćdziesięcio-pięcioletnich 54, sześćdziesięcioletnich 35, sześćdziesięcio-pięcioletnich 25, siedmdziesięcioletnich 17. Tak więc dopiero gdy trzynastu staruszków mających po 72 lat, zasiądzie przy jednym stole, staje się prawdopodobnem, iż jeden z nich umrze w ciągu roku. Czy też mozolne to wyrachowanie zachwieje przesąd, aby jednej wierzącej w niego osoby?

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Maryi Dew. w Koślinie. Dla pomieszczenia córeczki w domu prywatnym w Warszawie, celem posełania jej na naukę do pensyi prywatnych lub gimnazyów rządowych, możemy polecić p. Helenę Kuczalską, mieszkającą przy ulicy Siennej pod N. 4 róg Sosnowej, gdzie znajdzie i opiekę rodzicielską i wszelką naukową pomoc. Za całkowite utrzymanie przez dziesięć miesięcy pobiera rs. 350. Za naukę na pensyach od przychodzących panienek opłata w pierwszej klasie wynosi rs. 3 i ta w każdej klasie po rublu się powiększa. W innych znów pensyach dochodzi do 15 rubli w szóstej klasie.

Panu Stanisławowi K. w Petersburgu. Step w wierszyku ładnie opisany ale w formie ma wady nie do usunięcia. Autorce radzimy wczytać się w utwory naszych wieszczów i zapoznać się dokładnie z przepisami co do miary i średniówki.

SPROSTOWANIE.

W Numerze 22 Tygodnika, w artykule „Z wycieczki” w trzeciej szpalcie, w wierszu 13 od góry, zamiast: *z za Toby* czytaj: *z za Soty*.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 25 Мая 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

STARY ZAMEK.

(La Lizardiere).

ROMANS WSPÓŁCZESNY

przez

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład J. B.

(Dalszy ciąg.)

— Jakto, kuzynko, chcesz żebym został malarzem pokojowym?

— Wcale nie, chce żebyś malował jak artysta. Ale nie koniec na tem. Tak mało należy się od ciebie skarbowi, że zostanie ci się cały niemal postąpiony za Lizardière szacunek, co łącznie z należnością za twoją pracę, uczyni dość ładną sumkę; proszę posłuchaj mojej rady, jedź do Paryża i użyj jej na wydoskonalenie twojego talentu. Jestem przekonana że możesz zostać znakomitym pejzażystą, współzawodnikiem sławnego Corot'a. Wtedy krajobrazy swoje sprzedawać będziesz bardzo drogo — tak, panie margrabio, będziesz je sprzedawał — dzięki temu w krótkim czasie zrobisz majątek, i w ówczas powrócisz do Lizardière, której kuzyn twój strzedz dla ciebie będzie. Mając pieniądze, przywrócisz ruinom dawną ich świetność, poczem zaślubisz jakąś bohaterkę Walter-Scott'a, jak przystoi panu owego Kaleba, zwanego ojcem Pieyrard. Wszak zgoda?

— Któżby ci się oprzeć zdołał, *niedobra* kuzynko... Ale prócz Pieyrard'a i Klodiona zabiorę jeszcze moją kozę.

— A jakże; kuzynka twoja, Marylka, przystroi ją w różowe wstążki. A prawda! nie zapytałeś się nawet o nią.

— To twoja wina, kuzynko; ciągle prawisz morały, słuchając ich nie mogę przyjść do słowa.

— Zabieram cię z sobą.

— Tak natychmiast?

— Ma się rozumieć, gotówbyś mi jeszcze uciec. Tylko proszę przywdziej strój trochę mniej malowniczy, bo jeźlibyśmy wypadkiem zastali gości w pałacu, gotowiby pomyśleć że wracam z bezludnej wyspy z Robinson'em Crusoé.

— Ach! kuzynko, nie szlachetnie jest tak szydzić ze mnie, zawołał blednąc.

— Masz słuszność, Janie; przebacz mi, proszę, wiesz że zawsze lubię żartować, i wady tej pozbyć się nie mogę. Uściskajmy się i zgoda, wszak wiesz że szczerze jestem do ciebie przywiązana. Idź się ubierz, a ja tymczasem rozmówię się z moim dobrym przyjacielem Pieyrard'em.

I wyszła śmiejąc się wesoło.

Powróciwszy ubrany, Jan zastał hrabinę rozmawiającą z Pieyrard'em; starzec był rozpromieniony.

— Otóż, rzekła, co uradziliśmy z twoim Kalebem.

— Dziś wieczorem, zabrawszy kozę, przybędzie on do Marcilly; zamieszka z tobą w pałacyku i jak tu czuwać i usługiwać ci będzie. Dalej, codzień przychodzić będzie do Lizardière, aby, w zastępstwie twojem, składać w kaplicy bukiet świeżych polnych kwiatów... Za nadto kochałam twoją matkę, abym mogła zapominać o jej grobie, i dozwolić aby był opuszczonym skutkiem nieobecności syna... Pieyrard przyrzekł mi że nigdy o tem nie zapomni.

— Ach! moja dobra kuzynko! zawołał Jan rozrzewniony.

— Tylko nie rozczulaj się zbytecznie, kuzynku, bo znów żartować zacznę... Chodźmy; zostawiłam powóz przed bramą, bo wjazd trochę przykry, nie przymawiając... Ale gdzież Klodion?.. A jest! Wszakże to on podobno rozumi po angielsku?

I pochyliła się głaszcząc gęstą jego grzywę, co tak pochlebiło i ucieszyło zarazem Klodiona, że stanął na tylnych łapach, a przednie wsparł na ramionach hrabiny.

— Masz tobie! otóż i jego jeszcze trzeba będzie ucywilizować! zawołała odsuwając się aby uniknąć zbyt czułych karesów.

W pare minut potem, siedzieli już w powozie za którym biegł Klodion, a rącze rumaki pędziły ku Marcilly, podnosząc tumany kurzu.

VI.

Niecierpliwość hrabiego de Chazé.

Była godzina piąta. Wieś Marcilly i mała dolina zdawały się drzemać przy blasku ostatnich promieni jesiennego słońca; lekki dym wznoszący się z po nad dachów nizkich domków, otaczał dzwonnicę kościoła, jakby obłok kadzidła płonącego w kadzielnicy. Głęboka cisza zaległa do koła; aż nagle rozległ się wśród niej potężny głos.

— Hej! Plumeau!

Cała wioska drgnęła jakby od huku działowego strzału; starcy, kobiety, dzieci, wszyscy zerwali się nagle, mówiąc:

— To pan hrabia zawołał.

I rzeczywiście to hrabia de Chazé zakłócił tak nagle spokój dobrych wieśniaków. Nie uszło pół godziny od wyjazdu hrabiny do Lizardière, a już hrabia niecierpliwił się że nie przybyła jeszcze wraz z kuzynem, choć wiedział że najlepszemi jadąc końmi, trzeba co najmniej godziny aby dojechać i wrócić. Ale takie już było jego usposobienie. Zasiadł w fotelu na peronie pałacowym, z którego doskonale widać było całą wieś i drogę ciągnącą się na lewo, w dolinie Maulny; wstawał co chwila i wspierając się na grubym bukowym kiju, śmiało wystawił szeroką pierś swoją na wiatr wieczorny, wpatrując się w dal, jak okiem mógł zasięgnąć. Miał na sobie ciemną aksamitną żakietę, od której odbijała wyraźnie wstążeczka Logii honorowej; co chwila zdejmował kapelusz i przesuwając ręką wśród gęstych włosów, mówił sobie przygryzając wąsy:

— Jestem pewny że jej się uda!

I zamyślił się, a w pare minut później rzekł znowu.

— A jeźli jej się nie uda?

I twarz jego przybrała wyraz żywego niezadowolnienia; teraz w głębszem jeszcze zatonął rozmyślaniu, wśród którego to właśnie wrzasnął tak głośno, że aż całą wieś przeraził:

— Hej! Plumeau!

Plumeau był to chłopak pietnastoletni, który zakradł się w dworskie pole kartoflane, o kilkadziesiąt metrów odległe. Ufny że zasłaniają go wielkie kasztany rosnące wzdłuż drogi, zaopatrywał się w kartofle na całą zimę; ale pan de Chazé nietylko miał głos lwa ale i wzrok ostrowidza, dostrzegł więc przywłaściciela i to dało powód że wrzasnął nań aż się wieś zatrzęsła.

Chłopak skurczył się i pochylił, i w nadziei że z tak daleka hrabia straci go z oczów, zwrócił się ku żywopłotowi otaczającemu park — ale zawiodło go to wyrachowanie. Hrabia dostrzegł i zrozumiał jego manewr, i krzyknął znowu.

— Stój! ani kroku dalej!

Zmieszany Plumeau stanął nieruchomy.

— A teraz chodź tu! zawołał hrabia.

Gdy już Plumeau doszedł o jakie sto kroków od peronu, znowu rozległ się silny głos hrabiego który przykuł go do miejsca.

— A! tak to, hultaju! zbierasz żniwo z cudzego pola!.. No! i cóż? milczysz?.. i słusznie bo nie masz nic do powiedzenia... Pewnie zbierasz zapasy dla matki i siostry? no! czy tak?.. To czemuż nie prosiłeś o pozwolenie głuptasie!.. Idźże weź co się zmieści w twój worek, ale nie waż się przychodzić bez pozwolenia.

Chłopak nie dał sobie dwa razy powtórzyć rozkazu, napakował pełen worek i zwrócił się z nim ku wsi, ze spokojem jaki daje spełnienie obowiązku.

Hrabia de Chazé znowu się zamyślił; po chwili wyjął zegarek, i zaczął uderzać niecierpliwie nogą o próg peronu, mówiąc sobie:

— Czyżby odmówił?... bardzo to prawdopodobne, ci Lizardière'owie są tak próżni i dumni... Przechodzi to z ojca na syna... No! co prawda w gruncie nie ganię ja tego... ależ, do kaduka! do tego trzebaby być bogatym — inaczej nic!.. Chociaż znowu, ubóstwo nie jest przecież zbrodnią... A! gdyby ten nic warto Jan, chciał był mnie słuchać; byłbym go zabrał z sobą do Algieru, zostałby porucznikiem w moim pułku strzelców Afrykańskich... Cóż kiedy królowi tylko chce służyć! Rozumiem ja go, ale przecież sam jeden króla sprowadzić mu nie mogę... Może i dla tego podałem się do dymissyi... i oto z pułkownika zostałem merem wiejskim.. Śliczny mi pułk rada municypalna! No! ale przynajmniej krótko ją trzymam — długi Pitois mógłby zaświadczyć!

I roześmiał się głośno na to najmilsze wspomnienie z czasów jego administracyi. Długi Pitois był sobie poczciwy fermer, ale uparty jak kozioł; przytem mierzył 5 stóp i 10 cali, a hrabia tylko 5 stóp i 9 cali, co go bardzo gniewało. Pewnego dnia, na posiedzeniu rady, długi Pitois wystąpił z opozycyą gdy szło o uchwalenie jakichś dodatkowych centimów; otóż od paru wieków, żaden fermer ani chłop nie odważał się nigdy oponować któremuś z hrabiów de Chazé. Pomimo tej opozycyi, zagłosowano żądane centimy, ale mimo to hrabia przygryzł wąsy i patrzył na Pitois z drwiącym uśmiechem.

Nazajutrz, wracając z polowania, hrabia spotkał Pitois na skraju lasu.

— Długi Pitois, zawołał, mam ci coś powiedzieć.

— Wielki to zaszczyt dla mnie, panie hrabio.

— Wczoraj na radzie wystąpiłeś z opozycyą.

— Ha, panie hrabio, skoro cesarz nadał nam głosowanie powszechne...

— Dam ja ci głosowanie powszechne! Zrzuć kapo-

tę jak ja zdemuję surdut i uregulujmy tak rachunek. Jeźli ja pierwszy padnę na ziemię, przebaczę ci wczorajszą twoją głupotę, lecz jeźli ty pierwszy legniesz w trawie, zobowiążesz się uroczyście iż nigdy ani słówka nie przemówisz na radzie.

— Ale, panie hrabio...

— Cóż to, ty dawny artylerzysta boisz się moich pięści?.. jesteś więc tchórzem, długi Pitois?

Pitois pobladł.

— A kiedy tak, panie hrabio, nie będzie to moja wina.

Walka się rozpoczęła. Pitois był silniejszy, hrabia zręczniejszy. Po upływie kwadransa, Pitois zmęczony, oblany potem, leżał na zielonej murawie.

— No cóż! wszak już odtąd nigdy nie będziesz występował z opozycyą?

— Dałem słowo, panie hrabio.

— Dobrze; a na wzmocnienie sił, przyślę ci kilka butelek starego Bordeaux.

Na szczęście taki sposób pojmowania głosowania powszechnego, wyszedł już z mody nawet w Marcilly.

Mimo to hrabia był uwielbiany w całej gminie, którą administrował jak ojciec rodziny, śmiejąc się, żartując, rozmawiając poufale ze wszystkimi, ale nie dozwalając przekraczać należnego mu uszanowania. Wszystkim mówił *ty* wyjąwszy księdzu proboszczowi, z którym sprzeczał się często, zawsze przecież w jak najlepszych zostając stosunkach.

Wspomnienie owego zwycięztwa odniesionego nad długim Pitois przerwało ciąg myśli hrabiego, wrócił jednak do nich niebawem.

— Ach! ani ich widać, a już przeszło godzina jak Krystyna pojechała... O! ten nic warto Jan zasługiwałby na podobną nauczkę jak Pitois!.. Gotowi i za dwie godziny nie przyjechać!.. Oho! zdaje mi się że słyszę turkot kół... tak! tak!.. Ale czy i Jan przyjechał..: Biedny on! rzeczywiście jest bardzo nieszczęśliwy... Marylko!.. Marylko!..

Na to wołanie hrabiego, dziesięcioletnia dziewczynka prędko wybiegła na peron; miała czarne włosy jak matka, oczy niebieskie jak ojciec; niosła w ręku ogromną lalkę z której zdawała się bardzo dumna.

— Chodź, Marylko, i słuchaj mnie uważnie. Twój kuzyn Jan, który już bardzo dawno nie był w Marcilly, ma przyjechać z matką twoją i zamieszkać u nas. Będziesz dla niego bardzo dobrą; jeźli będzie smutny, staraj się go rozerwać, i nigdy nie powiesz do niego nic podobnego jak powiedziałaś niedawno panu Raulowi Désormes: brzydko jesteś ubrany mój kuzynie! Uszło to jeszcze względem pana Désormes, który jest milionerem, ale byłoby bardzo złem odnośnie do Jana, który jest bardzo ubogi. Czy zrozumiałaś mnie?

— Tak, mój ojcze; powiem mu: kuzynie Janie, bardzo ci ładnie w tem ubraniu.

— Nie, moje dziecko, byłoby to przesadą; pamiętaj tylko być dla niego zawsze bardzo grzeczną, i przemawiać tak łagodnie jak mama twoja. Ja znowu będę postępował całkiem przeciwnie; gdybym był dla niego uprzejmniejszym jak dla innych, sądziłby że oszczędzam go z powodu nieszczęśliwego jego położenia, i czułby się tem upokorzonym — ale kobietom i dzieciom zawsze wolno być miłemi i uprzejmemi. Wszak zrozumiałaś mnie Marylko?

— Tak, mój ojcze.

Pan de Chazé wziął Marylkę na ręce. Powóz zbliżał się szybko i można już było słyszeć z niego głos hrabiego.

— A! jesteś przecie, mój chłopcze!.. Już myślałem że wam się powóz zepsuł w drodze, tak długo was widać nie było... No! on wyraźnie wyobraża sobie że jestem aniołem cierpliwości.. wysiadajże prędzej... Masz tobie! czeka aż Krystyna wysiądzie aby jej podać rękę—myślisz że sama nie trafi, czy co? No, chodźże już raz!.. No! teraz uściskaj mnie, nic dobrego!

I nie puszczając Marylki drugą ręką objął Jana.

— Uściskaj także i Marylkę.

Marylka z bardzo poważną miną pozwoliła się ucałować, poczem śmiejąc się pociągnęła Jana za wąsy, mówiąc:

— Ładne masz wąsy, kuzynku Janie.

— Teraz, mój chłopcze, weź Marylkę za rękę i marsz do sali jadalnej, gdyż czekając na ciebie i na Krystynę nabrałem wilczego apetytu.

Jan szedł przodem z Marylką, a hrabia zbliżywszy się do żony uścisnął jej rękę mówiąc:

— Dziękuję ci serdecznie, kochana Krystyno.

Z początku obiadu ogólne panowało milczenie. Jan starał się ukrywać swój smutek ale był poważny i zadumany; Krystyna uśmiechała się ale zamyślała często, a Marylka z pod oka przyglądała się kuzynowi. Co do hrabiego zdawał się wyłącznie zajęty jedzeniem. Gły przyszła kolej na wety, hrabia zwrócił się do Jana pytając:

— Jak dawno miałeś wiadomość o siostrze twojej?

— Przed tygodniem; dotąd pozostaje w szpitalu wojskowym w Brest.

— To święta kobieta! zawołał hrabia. Spełńmy toast za jej zdrowie... kieliszek Madery, panie margrabio.

— Kuzynku, zawołała Marylka, i ja także chciałabym zostać siostrą miłosierdzia.

— A to z jakiego powodu? zapytał z uśmiechem.

— Aby nosić takie piękne nakrycie głowy z dużemi białemi skrzydłami, poruszającemi się z powiewem wiatru.

— I dla czego jeszcze?

— Dla przyjemności kuzynka Jana; przypominałabym mu siostrę.

I wstawszy od stołu pobiegła do niego i pociągnęła za wąsy.

Pierwsze lody zostały przełamane i już do końca obiadu rozmawiano wesoło. Z okoliczności Wystawy otwartej w Mans, Krystyna zaczęła mówić o malarstwie, Jan zbijał jej poglądy, w końcu jednak dał się przekonać. Hrabia dumny z wysokiego ukształcenia żony, zawołał z radością:

— Aha! kochanku, zostałeś pokonany; widzisz jak doskonale Krystyna zna się na malarstwie.

— Tak, w teoryi, ale Jan jest artystą i jeźli zechce może zostać znakomitym malarzem krajobrazów.

— Kiedy tak, kochany Janku, to proszę cię odmaluj mi cztery obrazy, na ścianach wielkiej zbrojowni, mianowicie: polowanie na wilka, na drugiej na lisa, na trzeciej na jelenia, a na czwartej na dzika. Ja ci podam myśl jak to wykonać.

— Zgoda, mój kuzynie, odrzekł Jan z trudnością mogąc powstrzymać się od śmiechu.

— Przypomniało mi się z tego, że podczas emigracyi, dziad twój, margrabia Gontran, utrzymywał się w Norymberze z malowania zabawek dziecinnych. Już to wszyscy Lizardière'owie są artystami. Zdrowie margrabiego Gontrana!.. Margrabio Janie, kieliszek starego Bordeaux... zdrowie twego dziada!

— Zdaje mi się, Leopoldzie, iż wartoby schować paru Lizardière'ów na jutro, aby mieć czyje zdrowie wnieść przy obiedzie.

— Rozumiem! zawołał hrabia, chodzi ci o Jana... Dzisiejsza młodzież nie ma tak silnych głów jak to dawniej bywało... Masz słuszność, Krystyno; więc tedy, Janie, jutro wypijemy zdrowie twego pradziada i pra-pra-dziada.

Po skończonym obiedzie wszyscy przeszli do salonu; hrabia będący ciągle w bardzo wesołym humorze, rozsiadł się w swoim wielkim fotelu.

— Trzeba żebyś wiedział, przyjacielu Janie, że o tej godzinie, jestem niby dawnym feudalnym panem, i usługuje mi żona i córka—ale cóż brakowało mi pazia — ty więc masz nim zostać. Krystyno droga, racz podać kawę swemu panu i władcy; ty Marylko, będziesz mieć zaszczyt podać mi cukier i średniowieczny koniak.

Wypiwszy kieliszek tego palącego likieru, zwrócił się do Jana, mówiąc:

— Na ciebie kolej, piękny paziu. Proszę przynieś teraz taboret i podsuń mi pod nogi; bądź z tego dumny, młody lenniku, i pewny wielkiej nagrody — odwdzięczę ci się na weselu.

Wypowiedział to z komiczną powagą, i wyciągnąwszy nogi na podanym przez Jana taburecie, wygodnie ułożył się do spania.

— Krystyno, Marylko, usiądźcie do fortepianu—wasza muzyka do snu mnie ukołysze. A obudźcie mnie za pół godziny; trzeba zaprowadzić margrabiego de Lizardière do jego zameczku.

— Była to zwykła godzina lekcyi muzyki; ale Marylka nie wielką miała do niej ochotę i często nie obywało się bez łez. Dziś upierała się aby nie powtarzać pewnego kawałka który mazała bardzo i nie zachowywała taktu. Jan uznał stosownem wdać się w tę sprawę.

— Kuzyneczko, rzekł, jeźli powtórzysz ten kawałek ile razy mama twoja każe, i będziesz się starać wykonać go jak możesz najlepiej, zrobię twój portret i portret twojej wielkiej lalki.

— Doprawdy? nie żartujesz kuzynie?.. O! mamusiu, będę bardzo grzeczna i będę grać dopokąd mi każesz.

Krystyna spojrzeniem podziękowała Janowi, mówiąc z uśmiechem:

— Miałam dziś trochę kłopotu z mojem dwojgiem dzieci, ale wszystko będzie dobrze skoro wzajemnie starać się będą poprawiać jedno drugie.

Nareszcie Marylka pojęła i odegrała dobrze ów trudny kawałek i lekcya odbywała się już spokojnie. Jan patrzył na matkę i córkę nawzajem przyjaznie spoglądające na niego; niekiedy wskazywały mu z uśmiechem pana de Chazé śpiącego w fotelu, i nie myśląc, nawet nie zdając sobie sprawy ze swych wrażeń, czuł że jakaś niewysłowiona błogość zstępuje do jego duszy — było to radosne poczucie że kocha rodzinę i jest od niej wzajemnie kochany.

— A! to taka karność w szeregach! zawołał hrabia; tak to obudziliście mnie!.. no! komu w drogę temu czas — chodźmy Janie! Czy pójdziesz z nami aż do zameczku, Krystyno?

— Tak, mój przyjacielu, i zabiorę także Marylkę. Chcę się przekonać czy służba spełniła moje rozkazy, i czy Janowi na niczem zbywać nie będzie w jego nowem mieszkaniu.

(*D. c. n.*)

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dalszy ciąg.)

Po chwili zwróciła się nagle do córek i rzekła:

— Fryderyk się żeni nie zapytawszy pierwej o moje zdanie, nie zasięgnąwszy mojej rady!

— Fryderyk się żeni? z kim? zawołała jednocześnie Zofia i Helena, a Joanna upadła na krzesło z przytłumionym jękiem.

— Masz, przeczytaj sama, dla mnie już tego dosyć, odpowiedziała matka oddając list Zofii.

Przeczytała śpiesznie krótki list brata, w którym starał się wyrazić szczęście jakiem go przejmuje ta pewność że pozyskał serce Teodory von Kleist, i prosił matki aby ją przyjęła jak córkę, ponieważ zasługuje na jej przywiązanie.

— Teodora von Kleist? powtórzyła Helena. To zapewnie ta sama o której Henryk Turner mówił ze mną zeszłej zimy, gdy przyjechał na jakiś czas do siostry. Wyrażał się o niej z takiem uniesieniem iż go posądzałam że jest w niej zakochanym. Ma to być, mamo, osoba bardzo piękna i utalentowana. Henryk Turner mówił że pięknie maluje i śpiewa jak anioł.

— Bardzo to być może, odpowiedziała wzorowa gospodyni; ale niechby uprawiała u swej matki sztuki piękne, bo ja uważam to za rzecz całkiem bezużyteczną. Żona Fryderyka powinna być osobą rządną i porządną, a taka nie miałaby czasu na podobne bzdurstwa. Jakież wyobrażenie o zarządzie domem i gospodarstwie może mieć taka śpiewaczka i fabrykantka obrazów, wychowana według zwyczaju przyjętego w wielkich miastach? A to najgorsze że jest szlachcianką! Wprowadzać jakąś szlachetnie urodzoną pannę do naszej starej mieszczańskiej rodziny!.. Pojmuję teraz czemu Fryderyk nie prosił mnie pierwej o pozwolenie, jak to powinien był uczynić; przeczuwał jaką dałabym mu odpowiedź. A! gdyby się był spuścił na mój wybór!

— Jakto, mamo, czy jest w tem coś ubliżającego dla Fryderyka że jego narzeczona jest szlachcianką? zapytała zdziwiona Helena.

— Tak, bo każden ze szlachty sądzi że jest czemś wyższym od mieszczanina. Ah! skoro pomyślę o tej którą pragnęłam nazwać moją synową!

— Trzebaby jeszcze wiedzieć czy Karolina Bauer, która patrzy bardzo wysoko, chciałaby pójść za Fryderyka, odpowiedziała trochę cierpko Zofia.

— Czyby chciała?... Co ty bredzisz, Zofio? zawołała pani Gahlen, zrywając się z krzesła z oburzeniem. Mój syn mógł zwrócić się do każdej panny, bogatej czy ubogiej, szlachcianki czy też mieszczanki, z tą pewnością że zostanie przyjętym. Taki człowiek jak on ma prawo pukać do wszystkich drzwi.

Zapomniała w tej chwili o swem zmartwieniu, i miała już wyjść z pokoju z podniesioną głową i oczami błyszczącemi dumą, gdy Helena podniosła leżący na ziemi przy jej krześle bilecik i zawołała:

— Mamo, jest jeszcze drugi list, zapewnie od panny Kleist.

— Co! pozwala sobie pisać do mnie, bez mojego upoważnienia! To coś niepojętego dla mnie, chociaż odpowiada zupełnie teraźniejszemu zachowaniu się dzieci względem rodziców, którego próbkę otrzymałam już od syna.

Usiadła, i zaczęła czytać nie bez trudności, drobne pismo Teodory.

— Czy kto słyszał coś podobnego! pisze do mnie przez: „ty", jak do swojej koleżanki; do mnie, co przez całe życie nie ośmieliłam się wyrazić podobnie do moich rodziców. Nazywa mnie matką nie zadając sobie pytania czy ja życzę sobie przyjąć ją za córkę. Trudno zaprzeczyć że początek dobry.

Czytała dalej z widocznemi oznakami niezadowolnienia, a w końcu odrzuciła list z wyrazem pogardy.

— Sama czułostkowa paplanina, ani szczypty rozsądku w tem wszystkiem co napisała. A mój Boże! biedny Fryderyk, jakże on źle wybrał! Mój Herman z pewnością nie popełniłby podobnego szaleństwa, byłby prosił matki, aby, według zwyczaju istniejącego w rodzinie, sama wybrała mu żonę.

— Ale, mamo, skoro Fryderyk kocha pannę Kleist, to przecie nie ma w tem nic dziwnego że chce się z nią ożenić.

— Powstrzymaj się od podobnych uwag, żółtodziobku, przynajmniej dopóki nie wyjdziesz zupełnie z jaja, odpowiedziała surowo pani Gahlen, i nie waż się drugi raz odzywać z podobnem zdaniem.

Po tych słowach schowała okulary do puzderka i wyszła z pokoju.

— Jeżeli jestem żółtodziobkiem, rzekła Helena, to przynajmniej sądzę że się już wyzwoliłam z mojej skorupki. W każdym razie Fryderyk jest już w tym wieku że wie co robi. Niepodobna przecie aby rodzice wodzili zawsze dzieci na paskach.

— Gdyby mama słyszała cię teraz, Helenko! Pomyśl że musi zapatrywać się na te rzeczy inaczej jak ty, choćby dlatego że ją wydano za mąż według dawnego zwyczaju: nasi dziadkowie ułożyli między sobą to małżeństwo, nie pozwalając dzieciom na żadne uwagi, i nie pytając się o ich uczucia, pomimo że wiedzieli iż ojciec nasz kochał matkę Joanny. Dlatego to nawet okazywał zawsze tyle życzliwości naszej małej kuzynce, i wziął ją dosiebie gdy została sierotą. Nie mów nikomu o tem co ci powiedziałam, Helenko, bo kto wie zresztą czy to prawda. Ludzie opowiadają niekiedy rzeczy w których nie ma ani cienia prawdy.

— Jakże to smutne! A matka Joanny była tak nieszczęśliwa! zapewnie to po niej córka odziedziczyła swoje piękne smętne oczy.

— Znów wypowiadasz uwagi które z pewnością nie podobałyby się mamie. Nie pojmuję jakim sposobem osoba pochodząca z rodu Gahlenów, może mieć tak mało zdrowego rozsądku.

— Jeźli dla okazania się godną córą naszego rodu, mam zaślubić tego kogo mi narzucą, to wolę wyrzec się tego zaszczytu, ponieważ chcę kochać tego z kim połączę się na całe życie.

— Od dziś do twego ślubu upłynie jeszcze tyle czasu, że będziesz mogła dobrze namyślić się nad tem, odpowiedziała śmiejąc się Zofia.

Helena zaczęła właśnie czytać list Teodory, i prawdopodobnie już nie słyszała tej odpowiedzi. Zofia zbliżyła się ku niej i czytała przez jej ramię, ale gdy na Helenie, tkliwszej i skłonniejszej do uniesień, każde słowo tego listu tchnącego szczerem i gorącem uczuciem, sprawiało korzystne wrażenie, z Zofią działo się zupełnie inaczej. Nie czuła się usposobioną do przyjaznych uczuć względem bratowej, której talenta i wykształcenie miały ją pozbawić stanowiska jakie zajmowała dotąd niepodzielnie. Tego rodzaju uczucia pokrywa się milczeniem, ale pomimo to istnieją w sercu i objawiają się różnemi sposobami. Naprzykład Zofia, nie życząca sobie wcale aby ktoś domyślił się jej zazdrości, przypuszczała z pewną przyjemnością że ona i w Róży obudzić się może, w skutek obawy aby obok młodszej od niej i pięknej Teodory, nie przestała być uważaną za najpiękniejszą z rodziny, czego jej dotąd nie można było zaprzeczyć; dlatego właśnie pośpieszyła do niej z tą wiadomością.

Skoro tylko Helena pozostała sama, porzuciła żelazko i bieliznę, a pobiegła do pokoiku zajmowanego przez nią i przez jej kuzynkę.

— Moja biedna Joasia, rzekła do siebie, jakież to ciężkie dla niej zmartwienie.

Weszła cicho i przysunęła się śpiesznie do klęczącej przy łóżku i wstrząsanej konwulsyjnem łkaniem Joanny.

— Moja droga, biedna Joasiu, rzekła zarzucając jej ręce na szyję.

W miejsce odpowiedzi usłyszała głośniejsze jeszcze łkanie, a na jej ramieniu spoczęła twarzyczka zalana łzami i na pół przysłonięta puklami ciemnych włosów.

— Ja go tak kocham, Helenko.

Nie umiejąc znaleźć słów zdolnych pocieszyć kuzynkę w jej gorzkim smutku, Helena ucałowała tylko tulącą się do niej bladą twarzyczkę. Po niejakim czasie Joanna zwróciła na nią oczy z wyrazem niepokoju.

— Więc ty odgadłaś?..

— Tak, trochę.

— A inni?

— Bądź spokojna; nie domyślają się niczego.

— Dzięki Bogu! Ale, ty Heleno, jakim sposobem...

— Czy przyjaciółki potrzebują słów aby się zrozumieć wzajemnie? Czy gdybym ja była nieszczęśliwą, potrzebowałabym ci to wyznać dla zjednania sobie twego współczucia.

— Ah! Heleno, ja sama nie zrozumiałam moich uczuć, aż do chwili gdy ta straszna wiadomość otworzyła mi oczy. Na jakże bolesne żarty byłabym wystawioną, gdyby się dowiedziano o mojem szaleństwie. Kto wie co ty nawet myślisz o mnie...

— Będę cię kochać więcej jeszcze, dla wynagrodzenia niewdzięczności i zaślepienia brata. Kto wie czy gdyby wiedział jak szlachetne uczucie...

— O! nie kończ, Heleno! Jedyną dla mnie pociechą w tej chwili jest ta pewność, że widział zawsze we mnie jedynie swą czwartą siostrę, tylko wątlejszą od innych, i której z tego powodu okazywał przywiązanie połączone z politowaniem.

— Uspokój się, moja droga, wiesz że nie byłabym zdolna zdradzić twej tajemnicy. Ale czy zdołasz znieść obecność Teodory skoro przywiezie ją do nas?

— Powiedz mi, Heleno, rzekła Joanna wstając, czy znane ci są jakie szczegóły o tej Teodorze? Czy jest dobra, piękna, miła?.. Uciekłam skoro ciotka wymówiła pierwsze, tak bolesne dla mnie słowa, bo zdawało mi się że umrę ze wstydu, jeźli ktoś odgadnie co się dzieje w mej duszy.

Helena wyjęła listy z kieszeni i zaczęła czytać je głośno. List Fryderyka wywołał znów gorzkie łzy z oczu biednej Joanny, ale gdy następnie przyszła kolej na bilecik Teodory, uspakajała się stopniowo,

i w końcu blada jej twarzyczka przybrała wyraz spokojnego smutku.

— Helenko, rzekła drżącym jeszcze, ale już nie tak przenikająco smutnym głosem, zdaje mi się że ten krzyż nie będzie zbyt ciężkim na moje ramiona. Przyprowadziłoby mnie to do rozpacy, gdyby Fryryk ożenił się z jakąś niegodną go kobietą, ale z listu który mi przeczytałaś, widać że go skreśliła osoba posiadająca szlachetne i kochające serce. Dziękuję Bogu że obdarza szczęściem dwie istoty zasługujące na nie, i błagam go o przebaczenie za chwilę szaleństwa, którego sama nigdy sobie nie przebaczę.

Zbliżyła się do okna, i wzniosła ku niebu wielkie zroszone łzami oczy. Helena wyszła cicho z pokoju, obecność jej nie była potrzebną kuzynce, skoro potrafiła wznieść się dość wysoko, aby szukać pomocy u Pocieszyciela wszystkich serc strapionych.

IV.

Drobne kłopoty.

Fryderyk z żywą niespokojnością rozdarł kopertę, zawierającą odpowiedź matki, na list jego i Teodory; sądząc z niezadowolnienia malującego się na jego twarzy gdy ją czytał, trzeba wnosić że ta niespokojność była usprawiedliwioną. Po niejakim jednak czasie czoło jego wypogodziło się, a na ustach ocienionych gęstą jasną brodą, ukazał się uśmiech, i przesunął pieszczotliwie rękę po papierze, jakby tym sposobem chciał ukoić gniew którego przyczyny nie mógł zrozumiéć. Jednak zmarszczył znów brwi skoro spostrzegł że się omylił, sądząc że przyłączony do listu bilecik był do Teodory, gdy tymczasem to Zofia pisała do niego. Z całej rodziny, jedna tylko Helena przesłała kilka serdecznych słówek jego narzeczonej, usprawiedliwiając milczenie matki bólem oczu. Zasmucało go to i niecierpliwiło zarazem, wiedział że matka mogłaby napisać gdyby tylko chciała, i zdawało mu się że widzi matkę siedzącą na krześle sztywno, z brwiami zmarszczonemi, przesuwającą prędko rękę po kolanach, i odpowiadającą na nieśmiałe prośby córek krótkiem i stanowczem „nie”, pomimo że Zofia przedstawia je odwołując się do honoru domu, a Helena przypomina względy należne bratu. Tylko że Helena, gdy jej się to nie udało, potrafiła znaleźć sposób przesłania kilku życzliwych słówek dla złagodzenia niegrzeczności wyrządzonej przez matkę.

W tej chwili zaczął obawiać się silniej jeszcze niż kiedykolwiek, czy dwie osoby posiadające tak odmienne wychowanie, upodobania i nawyknienia jak jego matka i narzeczona, zdołają porozumiéć się kiedy. Chodząc po pokoju rozmyślał nad tem zkąd mogło pochodzić tak wyraźnie objawione uprzedzenie przeciwko osobie zupełnie nieznanej i nagle roześmiał się głośno.

— Aha! Katarzyna Bauer, zawołał wesoło, a ja zupełnie o tem zapomniałem! Moje zamiary pokrzyżowały plany matki, i to jest przyczyną jej niezadowolnienia. Ba! skoro pozna Teodorę sama przyzna że mój wybór lepszy. Pokochają się wzajemnie, nie może być inaczej.

Tak, było to niezbędnem dla uchronienia się od licznych przykrości, gdyż obie panie Gahlen miały spotykać się bardzo często, skoro Fryderyk przyjął posadę dyrektora gimnazyum w swem rodzinnem mieście. Otrzymanie podobnej posady w tak młodym wieku, było dla niego bardzo pochlebnem, a pomimo to radość jego była połączona z żalem, ponieważ tym sposobem musiał wyrzec się marzeń zatrzymujących go w B. Poświęcił je wszakże nie namyślając się długo, bo tym jedynie sposobem mógł prędzej zaślubić Teodorę, i pośpieszył do niej natychmiast z tą wiadomością.

Teodora nie domyślała się że tym sposobem wyrzekał się nadziei pozyskania świetniejszego stanowiska, i nie miała wyobrażenia jaką zmianę przyniosą w jej dotąd swobodnem życiu, zacofane pod wielu względami wyobrażenia mieszkańców małego miasteczka; smuciła ją więc tylko myśl rozłączeniu się z matką.

— Muszę pierwej skończyć mój obraz, rzekła do Fryderyka, gdy nalegał aby wyznaczyła dzień ślubu.

— Skończyć obraz! zawołał Fryderyk; inne dziewczęta myślałyby w takim razie o mebiach i wyprawie.

— To prawda, odpowiedziała Teodora, ale nie zdaje mi się to znów tak ważną rzeczą; dla dwóch osób tak mało trzeba.

Fryderyk przypomniał sobie że siostra jego Róża, pomimo pomocy wszystkich kobiet znajdujących się w domu, potrzebowała ośmnaście miesięcy czasu na wykończenie swej wyprawy, a matka powtarzała: „że prócz ślubu, narzeczona nie powinna już o nic w świecie dbać tyle co o swą bieliznę.“ Jakżeby ją zgorszyło to lekceważenie Teodory.

Pani von Kleist odgadła po części jego myśli, i dlatego też odezwała się śpiesznie:

— Przysposobienie wyprawy nie potrzebuje tak wiele czasu; przyrzekam że dom wasz będzie ładnie urządzony, a w wielkiej szafie do bielizny znajdzie się wszystko co trzeba.

Ta niespodziewana obietnica była balsamem po ciechy dla Fryderyka; wiedział że nie tylko rodzina ale przyjaciele i znajomi będą usiłowali przejrzyć wszystkie kąty w jego domu, i że korzystne lub niekorzystne wyobrażenie o jego żonie, zależyć będzie od tego co w nim znajdą.

— Moja matka, rzekł z uśmiechem, byłaby najwięcej zadowolnioną, gdybyśmy mieli kilka szaf napchanych bielizną. Te które sama posiada, uważa za swój skarb najdroższy, a na znaczną część swej bielizny, sama wraz z moją babką uprzędła przędzę.

— Ale co za potrzeba miéć tyle bielizny? zapytała Teodora. Kupmy lepiej książek lub jakie przedmioty sztuki, których widok sprawia zawsze przyjemność.

— Nie masz jeszcze doświadczenia pod tym względem, moje dziecię, dlatego też spuść się na nas, rzekła pani Kleist, która podzielała wprawdzie zdanie córki, ale wiedząc że szczęście Teodory zależyć będzie poczęści od życzliwości matki męża, nie chciała jej zrażać niczem.

Zbyt łagodna i posłuszna aby opierać się postanowieniu matki, nawet gdy jak w obecnej chwili wydawało jej się dziwnem, Teodora zgodziła się na wszystko, i rzekła tylko zarzucając ręce na szyję pani Kleist.

— Czyń jak chcesz, mateczko, będę ze wszystkiego zadowolnioną, bylebyś tylko nie odrzuciła mej prośby.

— Jakiej, moje dziecię?

— Abyś, droga mateczko, mieszkała razem z nami, w naszym domku będzie dość miejsca na trzy osoby, a mnie już nic nie będzie brakować do szczęścia.

Fryderyk popierał szczerze prośbę narzeczonej, przedstawiając jak przykrą byłaby dla nich ta myśl że pani Kleist pozostanie sama, i przyrzekając jej w swym domu zupełną niezależność,—ale odmówiła stanowczo.

— Nie, nie, drogie moje dzieci, podobne układy wyglądają piękniej z daleka niż z blizka. Młode małżeństwo potrzebuje samotności aby się mogło przyzwyczaić do siebie, i trzecia osoba, choćby nawet najczulej kochana matka, byłaby zbyteczną. Zresztą nie troszczcie się o mnie; praca jest miłym towarzyszem, dała mi już nie jedną przyjemną chwilę, i dopomoże mi do zniesienia nieobecności mojego dziecka. Pozostawcie mnie w mojej pustelniczej celi; wiedząc że jesteście szczęśliwi, nie będę się uskarżać na to osamotnienie którego obawiacie się dla mnie.

Słowa były mężne, ale serce smutne, i Teodora nie domyśliła się nigdy jaki przymus zadawała sobie matka odmawiając jej prośbie.

— Teraz chodź, moja córeczko, zajmiemy się ważniejszemi rzeczami, zawołała pani von Kleist po odejściu Fryderyka. Połóż pendzel i dopomóż mi spisać wszystko co ci może być potrzebne na twem gospodarstwie.

Teodora zastosowała się natychmiast do jej woli, ale zadanie okazało się daleko cięższem niż to wyobrażały sobie te panie, zarówno pod tym względem niedoświadczone. Spędzając całe życie z piórem lub pendzlem w ręku, nie miały najmniejszej wprawy w rachunkach, i nie wiedziały z czego się powinna składać porządna wyprawa, dlatego też w końcu jedynym wynikiem ich usiłowań było głębokie zniechęcenie i zakłopotanie. Jednak na drugi dzień Fryderyk zastał narzeczoną wśród powyjmowanej z szafy bielizny, co sprawiło mu prawdziwą przyjemność, lecz Teodora szczęśliwa że może porzucić nieznośną dla niej robotę, wyprowadziła go natychmiast do drugiego pokoju, aby bielizna nie nasuwała jej się na oczy.

Tegoż dnia wieczorem pani von Kleist zabierała się znów do rozpoczętego wczoraj dzieła, gdy Teodora zawołała:

— Nie, mamo, my nigdy nie dojdziemy z tem do ładu; przywołajmy lepiej na pomoc wspólnej cioci całej naszej rodziny: jej to zajęcie sprawi przyjemność, a my uwolnimy się od tak niemiłego kłopotu.

— Wyborna myśl! zawołała pani radczyna, a jednocześnie twarz jej rozjaśniła się nagle. Napiszę do niej natychmiast aby nam jej ktoś nie zabrał, gdy wyjdzie od swej kuzynki u której pielęgnowała dzieci chore na odrę. Taka ciocia, to prawdziwy skarb w rodzinie!

I nie zwlekając ani chwili, Teodora zaczęła wrzucać do szaf i kufrów powyjmowane rzeczy, a matka jej przyzywała na pomoc doświadczonego sternika, który potrafi z pewnością doprowadzić do portu łódź, wystawioną pod ich kierunkiem na największe niebezpieczeństwo.

(*D. c. n.*)

Opis do N-ru 23.

N. 1—3. Ubrania spacerowe.

N. 1. Sukieneczka z vêtement dla małej dziewczynki. Krój jak do ryc. 14 i 15 w N-rze 22.

iecy vêtement z fałdami zachodzącemi pod spód kra- ię na 83 cent. długości, przody zaś sfałdowane z bo- w i rozchodzące się u dołu, są 68 cent. długie. Spó- iczka 63 cent. ıga, 155 ob- lu mająca, ysłonięta jest owaniem 30 t., falbaną towaną 11 c. roką i 5 c. roką, drobno adaną falba- zką. Brzegi ement ota- za haft odwi- nięty na wierzch.

N. 2 i 11. Suknia ze stanikiem z baskiną. Krój na arkuszu . IX, fig. 34—41.

Baskina stanika przecinana w równe patki, podszyta jest odmiennym materyałem, składanym w kontrafałdy widoczne przez przecięcie. Każda kontrafałda jest 11 c. długa a 20 szeroka, tylko fałdy dane przy drugiej zaszewce w przodach są po 15 cent. szerokie. Na fig. 34 wskazujemy naddanie materyału na fałdy wzdłuż brzegów przednich a liniją cienką odnaczona jest część kamizelkowa. W spódnicy przecięcia są po 50 c. długie, dane w odstępach 20 c.; na fałdy wstawiane są kawałki po 40 cent. szerokie. Figura 41 przedstawia w maleńkim formacie krój draperyi, którą podług krzyżyków i kropek z jednego boku sfałdowywa się do 30 cent długości, z drugiego zaś składa tylko w dwie wielkie fałdy. Tylny bryt u góry i u dołu sfałdowany przyszywa się na spódnicy, następnie składa gwiazdką do gwiazdki w duży pukiel i podpina podług ryc. 11. Suknia taka może być zarówno odrobiona z cienkiego wełnianego materyału, lub z letniego bawełnianego np. alzackiego perkalu.

N. 3. Suknia z pelerynką.

Vêtement można dopasować podług kroju danego przy ryc. 1 w N. 22, przedłużając plecy do potrzebnej długości i szerokości, podpięcie łatwo dopełnić podług ryc. 3. Gładka spódnica przysłonięta jest haftowanym wolantem, 40 cent. szerokim, danym nad marszczoną aksamitną falbanką; przy pelerynce dany haft 15 cent. szeroki. Vêtement z blado niebieskiego atłasu; w deseń adamaszkowy koloru ognisto ponsowego; kołnierz i kokardy aksamitne tegoż koloru. Kapelusz z ciemno ponsowej słomki, przybrany takąż wstążką i cieniowanemi piórami poziomkowego koloru.



N. 1—3. Ubrania spacerowe.

N. 1. Sukienka z vêtement dla małej dziewczynki. N. 2. Suknia ze stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 11. Krój na arkuszu N. IX, fig. 34—41. N. 3. Ubranie z pelerynką.

N. 4—5. Szlaczki ściegiem gobelinowem, do ozdoby sukien, kołnierzyków dla dzieci, fartuszków i t. p.

Wyszywają się na taśmie nicianej lub kanwowej, jednym kolorem do cieniu lub kilkoma kolorami, ozdabiając supełkami i gwiazdeczkami.

N. 6. Koronka wyszyta na tiulu z aplikacyą batystu.

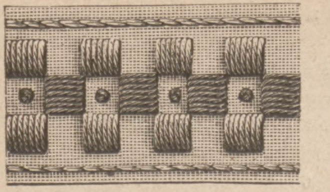
Nowy ten rodzaj koronki odznacza się dużym efektem, przy łatwem i pośpiesznem wykonaniu maszynowem, lub ręcznem dla osób pracowitych i wprawnych do robót i służy do przybrania sukien letnich, parasolików i t. p. Model, jaki daliśmy na ryc. 6, odrobiony był na cienkim piaskowym tiulu z aplikacyą batystu ficelle na bratki, obwodzone ściegiem sznureczkowym jasną bawełną. Muszki podłużne w ząbkach, dane ściegiem płaskim; listki i ogonki wywodzone na tiulu. Brzeg koronki oszyty pikotami.

N. 8. Kapotka marszczona dla dziewczynki. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 59—61.

Suto przybrana puklami z blado niebieskiej atłasowej wstążki, 3 c. szerokiej, może być odrobiona z materyału wełnianego, lub letniego do prania; model był z niebieskiego voille. Na rondko z podszewką atłasową potrzeba skośnego kawałka 140 cent. długiego, 20 szerokiego przemarszczanego w równych odstępach 2 c. szerokich i przez wsunięcie okrągłych fiszbinków zmarszczonego podług formy rondka fig. 61. Trzy rzędy brzeżne zmarszczenia są tak ściśle zsunięte do siebie iż tworzą jakby rodzaj riuszy. Fig. 59 daje formę główki ze sztywnego muślinu lub tiulu, którą fałduje się podług krzyżyków i kropek, a od dwu kropka do gwiazdki podkłada pod spód, poczem brzeg prosty również sfałdowany przyszywa do rondka od 3 do 4. Zaokrąglony brzeg tylny przemarszcza się trzykrotnie i od 1 do gwiazdki przyczepia do rondka.

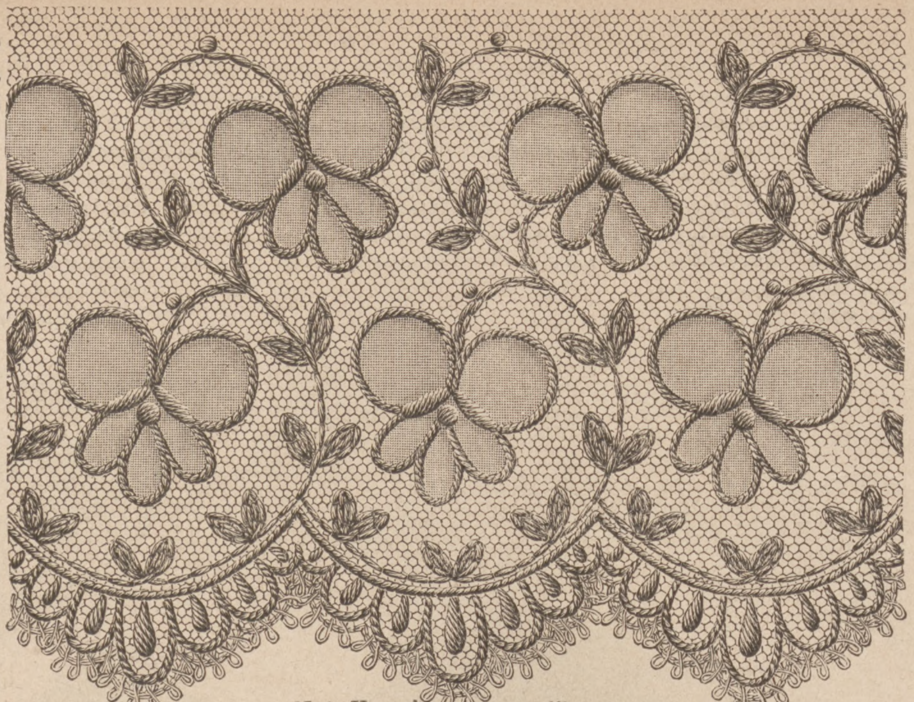
N. 9. Kapotka jedwabna dla osoby starszej.

Z powodu skromnego wykończenia, kapotka taka z materyi jedwabnej może być z łatwością uszyta własnoręcz-



N. 4. Szlaczek wyszyty ściegiem gobelinowym.

nie. Do pokrycia foremki ze sztywnego tiulu, potrzeba prostego kawałka materyi 55 c. szerokiego 180 długiego, który z przedniego brzegu przemarszcza się w dwie bufki po 2 i pół cent. szerokie odpowiednio do obwodu rondka na 45 cent. Po za bufkami idą cztery rzędy marszczenia w odstępie po 1 cent. Brzeg przedni materyi, przyszywa się do foremki, do której także przyszywa się główkę, a brzeg dolny marszczy się odpowiednio do karczka i przyczepia podług ryc. 9; szew przykrywają podwójne wązkie końce do wiązania po 200 cent. długie. Kokarda z wierzchu kapotki przypięta jest czterema wielkiemi szpilkami.



N. 6. Koronka z aplikacyą.

N. 10. Suknia z bawetowym stanikiem.

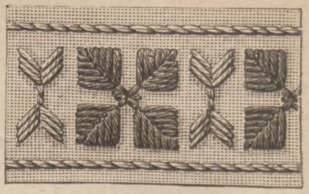
Odrobiona z gładkiego i deseniowego materyału, może być z materyi jedwabnej, wełnianej lub letniej satynki czy kretonu. Jeżeli ma służyć do strojnego ubrania to można użyć materyi i gaze velours na jedwabnej podszewce odmiennego koloru. Na spódnicy dane dwie falbany, złożone w podwójne kontrafałdy, z których wyższa naszyta deseniowemi plisami, spuszczonemi w puklach na niższą falbanę. Draperya z przodu tworzy suto nafałdowaną bufę z tyłu upięty jest bryt prosty. Stanik bawetowy zapinany z tyłu.



N. 8. Kapotka marszczona dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 58—61.

N. 12. Okrycie z szerokiemi fałdowanemi rękawami. Patrz ryc. 42 w N-rze 22. Krój na arkuszu N. II, fig. 7—10B.

Ryc. 42 w N-rze 22 przedstawia przód, ryc. 12 w dzisiejszym N-rze daje plecy okrycia, formą wciętego paletocika z dolmanowemi rękawami, które można uszyć z jaknajskromniejszego materyału albo też z materyi jedwabnej gładkiej, deseniowej lub tureckiej. Ryc. 42 przedstawia okrycie z czarnej gaze velours, zdobne 7 c. szeroką riuszą koronkową i pasmanteryą z perełek (naszytą wzdłuż pleców). Na ryc. 12 dajemy okrycie z granatowego sukna, naszyte czarną pletnią i przybrane granatowym aksamitem. Forma rękawa dla braku miejsca dana w dwóch kawałkach, zestawiona jest na małym formacie kroju. Aksamit przykrywający plecy fig. 9, powinien być nieprzecinany w jednym skośnym kawałku. Cienka linija prosta oznacza przyszycie rękawa, zszytego od V do W, sfałdowanego od Y do Z, na ramieniu odpowiednio przymarszczonego między krzyżykiem i kropką i wszytego w wykrój pachy tylko od Z do W. Brzeg przedni po sfałdowaniu liczy w około ręki 44 cent. obwodu; przybranie wzdłuż przodów zapiętych na haftki (na 25 cent. długości) dodaje się podług cienkiej linii, oznaczonej na fig. 7. Na długość okrycie dopełnione jest wolantem 14 cent. szerokim.



N. 5. Szlaczek wyszyty ściegiem gobelinowym.



N. 7. Neseser do robót. Patrz zamknięty na r. 20 w N. 22.



N. 13. Talerz metalowy z deseniem wypalanym serwaserem. Patrz ryc. 14 i fig. 66.



N. 10. Suknia z bawetowym stanikiem.



N. 12. Okrycie z szerokiemi rękawami. Patrz r. 42 w N. 22. Krój na arkuszu N. II, fig. 7—10B.



N. 11. Suknia ze stanikiem z baskiną. Patrz ryc. 2.

N. 17—18. Fartuszek dla dziecka. Krój na arkuszu N. V, fig. 22—24.

Fartuszek przedstawiony z przodu i z tyłu na ryc. 17 i 18, zapięty na ramionach na guziczki szyje się z cienkiej piki, dymki, płótna lub batystu. Karczek krzyżujący się z przodu, oszyty jest naokoło brzeżkiem haftowanym 2 i pół cent. szerokim; na zszyciu z fartuszkiem dana pliska 2 cent. szeroka lub wszywka haftowana. Przód fig. 22) założony jest w sześć fałdek 1 cent. szerokich, zastębnowanych na 18 cent. wzdłuż; pod pierwszą i ostatnią fałdkę przyszyty jest pasek, 4 cent. szeroki, zapięty z tyłu na guzik. W plecach fałdki nie są zastębnowane tylko przeszyte u góry; dolny brzeg fartuszka zdobi falbaneczka.



N. 9. Kapotka jedwabna dla osoby starszej.

N. 19. Kapotka zdobna rozetami z wstążki.

Fasonik z cienkiego czarnego bastu, ma rondko przysłonięte z wierzchu bufowaniem z tiulu chantilly; do twarzy dana złota koronka 2 cent. szeroka. Rozety zdobiące wierzch kapotki ułożone są ze złotej koronki 4 cent. szerokiej i z wązkiej atłasowej wstążki, koloru ciemno i jasno ponsowego. Końce do wiązania z wstążki 7 cent. szerokiej.

N. 20. Kapotka z torsadki słomkowej.

Fasonik pleciony jest z fantazyjnej słomkowej torsadki w dwóch cieniach; przedni brzeg objęty szerokim bufowanym rulonem z ciemno ponsowego aksamitu, z którego dana wielka płaska kokarda, przypięta bukietem złotego ostu, otoczonym pukielkami z wąziutkiej aksamitki. Do wiązania końce podwójne z 3 cent. szerokiej wstążki atłasowej i aksamitki, przypięte z boków szyldkretowemi szpilkami.



N. 15. Tło robione na drutach.



N. 16. Tło robiono na drutach.



N. 14. Część szlaku do ryc. 13.

N. 21—22. Koronka niciana robiona ręcznie na warsztaciku. Deseń na 58 nitek, odznaczony na fig. 67.

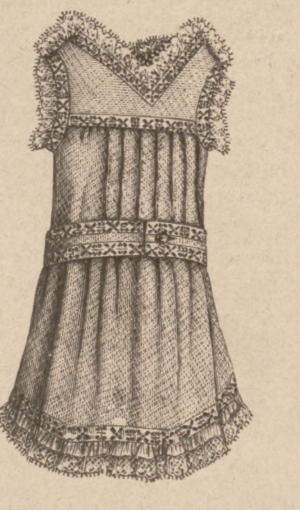
Dość gruba koronka podana na ryc. 21 służyć może do serwet, ręczników i t. p. Na ryc. 22 dajemy w powiększeniu zaczętą rozetę ażurową, przedzieloną matowemi kwadratami, napięcie zaś deseniu i przeprowadzenie nitek wskazaliśmy na fig. 67.



N. 17. Fartuszek dla dziecka Patrz plecy na ryc. 18. Krój na arkuszu N. V, fig. 22—24.



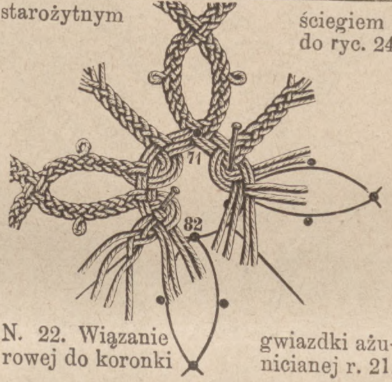
N. 23. Kwadrat wyszyty starożytnym ściegiem sznureczkowym. Odpowiedni do ryc. 24.



N. 18. Fartuszek dla dziecka. Patrz przód na ryc. 17.

N. 23—24. Serweta ze starożytnem wyszyciem sznureczkowem. Deseń patrz fig. 29—31 na arkuszu z krojami.

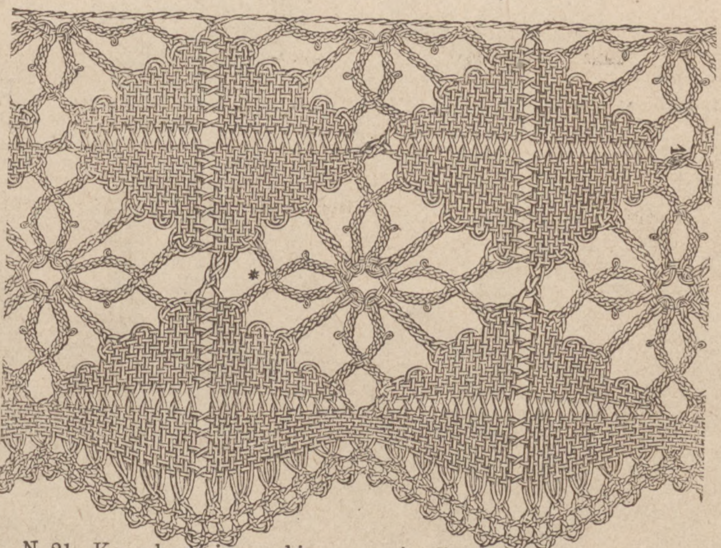
W poprzednich N-rach już kilkakrotnie spotykały się czytelniczki z wzorami wyszycia ściegiem sznureczkowym, który opisywaliśmy szczegółowo, zalecając jako ładny a niezbyt trudny do wykonania. Dla osób nie mających jednak wprawy w tego rodzaju robocie, radzimy zastąpienie tego ściegu zwykłym sznureczkowym, łańcuszkowym lub t. p. Ażeby wyszycie dobrze się odznaczało, użyte są dość grube nici (Königsgarn N. 25), jak to widzimy na ryc. 23. Deseń wyszycia na serwecie trzeba stosować do rozmiarów stołu, aby haft wypadał na wierzchu i z boków, a nie potrzebował łamać się na kantach stołu. Serweta przedstawiona na ryc. 24 liczyła 170 cent. długości, a 107 szerokości i składała się z czterech mniejszych kwadratów, po 64 cent. długich, 71 szerokich i z dwóch większych po 105 długich, danych z cienkiego kiprowanego płótna, połączonych z sobą mocną nicianą wszywką 12 cent. szeroką a przez środek serwety pasem wyszywanym 10 cent. szerokim. Na krzyżowaniu się wszywki dane także małe wyszywane kwadraciki płócienne, widoczne na ryc. 24. Fig. 31 daje deseń na taki kwadracik, fig. 29 przedstawia deseń wyszycia w rogach każdego kwadratu tła, a fig. 30 część deseniu na pas środkowy. Wszywkę i koronkę otaczającą brzegi serwety, najlepiej zrobić z mocnej tasiemeczki koronkowej podług którego z podawanych przez nas od lat kilku deseni na koronkę irlandzką,



N. 22. Wiązanie gwiazdki ażurowej do koronki nicianej r. 21.



N. 19. Kapotka zdobna rozetami.



N. 21. Koronka niciana robiona ręcznie. Patrz r. 22. Napięcie deseniu na arkuszu fig. 67.



N. 20. Kapotka z torsadki słomkowej.



N. 24. Serweta z wyszyciem sznureczkowem. Patrz ryc. 23.

spajaną mocnemi nićmi okręcanemi lub pręcikami dzierganemi.



N. 28. Rozetka z pletni złotej.

N. 25—26. Ubrania domowe.

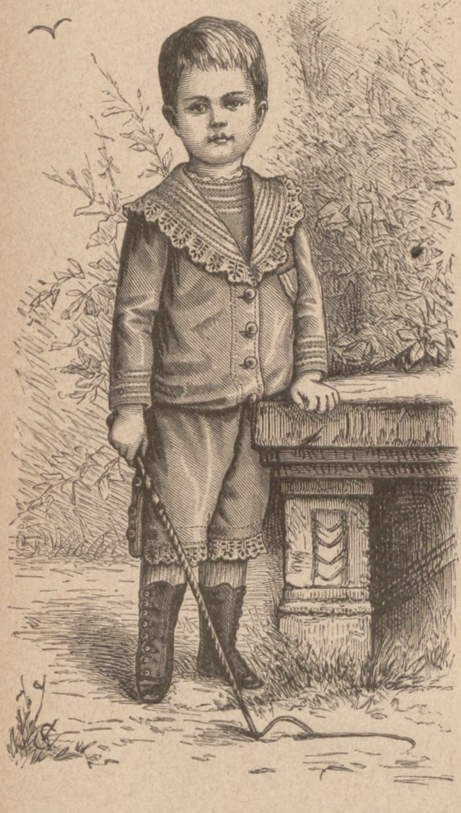
N. 25. Suknia ze stanikiem do paska.

Odrobiona z żółtawego kretonu w kratę niebieską w dwóch cieniach, ozdobiona jest żółtawą nicianą koronką. Spódnicę można przybrać podług modelów podanych w dzisiejszym lub w 22 N-rze Tygodnika Mód. Zamiast baskiny ułożona jest na biodrach bufa, fałdowana w kontrafałdy, wszyta w pasek razem ze spódnicą. Stanik z marszczonym plastronem oszytym koronką, obciśnięty jest aksamitnym paskiem, zapiętym metalową klamerką. Kołnierzyk stojący, zapięty aksamitną kokardą.



Ubrania domowe.

N. 25. Suknia ze stanikiem do paska. N. 26. Suknia zdobna rozetami.



N. 32. Ubranie dla chłopczyka lat 3—5. Patrz ryc. 16 i 17 w N-rze 22. Krój na arkuszu N. III, fig. 11—16 i 18.



N. 27. Girlanda do kapelusza.

N. 26. Suknia zdobna rozetami.

Stanik bawetowy z aksamitnem plastronem zapinany z boku na kryte haftki, przybrany jest oryginalnie dwoma rzędami pomponów kolorowych, naszytych koło plastronu; dół stanika otacza złożona w fałdę wstążka atłasowa związana z boku w długą kokardę z rozetą w środku. Takież rozety dane przy aksamitnych mankietach na rękawach i pod szyją przy trójkątnej chusteczce z indyjskiego muślinu.

N. 27. Girlanda do kapelusza letniego.

Moda tegoroczna zdobi wielkie letnie kapelusze pojedyńczemi gałązkami jagód i liści, wspaniałemi bukietami kwiatów nadnaturalnej wielkości, albo też kolorowemi jedwabnemi różami układanemi w fantazyjne grupy, łączone delikatnemi łodyżkami. Ryc. 27 przedstawia model takiej właśnie girlandy, w której obok róż, dane gałązki rezedy i pączki różane, do złudzenia naśladujące naturę, otoczone delikatnie cieniowanemi listkami.



N. 29. Rozeta z koronki.

N. 28—31. Rozety do sukien, kapeluszy, żabotów i t. p. Patrz ryc. 26—27 w N. 22.

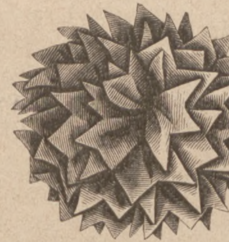
Rozety stanowią obecnie bardzo modne przybranie i zastosowują je nieledwie przy każdem ubraniu, układając odpowiednio do całości garnirunku z koronki, wstążki, pletni lub materyi marszczonej.

N. 28. Rozeta z pletni złotej lub wąziutkiej aksamitki.

Model był z pletni złotej pół cent. szerokiej, przerabianej z szafirowym jedwabnym sznureczkiem; układanej w pukielki 4 i pół cent. długie, przyszywane na podstawie ze sztywnego tiulu, wyciętej w kółko o 4 cent. średnicy.



N. 33. Sukieneczka wycięta. Krój na arkuszu N. IV, fig. 19—21.



N. 30. Rozeta z wstążki. Patrz r. 26 w N. 22.



N. 31. Rozeta z materyi. Patrz r. 27 w N. 22.

N. 29. Rozeta koronkowa.

Układa się z koronki 5 i pół cent. szerokiej zmarszczonej u dołu na nitkę i przyciągnięte w kółko odpowiednio do rozmiarów; każde otoczenie trzeba niewidocznie przyczepić do podstawy tiulowej.

N. 30. Rozeta z wstążki wyciętej w zęby. Patrz r. 26 w N. 22.

Ciemno ponsowa repsowa wstążka 5 cent. szeroka, przecina się na kawałki 6 c. długie, z jednej strony wycięte w ząb 2 c. głęboki, które przyszywają się jeden koło drugiego brzegiem podstawy ze sztywnego tiulu, mającej 6 cent. średnicy. Środek rozety zapełniają kawałki wstążki, po 12 c. długie, w obu końcach wycięte w zęby, środkiem zmarszczone podług r. 26 w N-rze 22 i przyszyte tak aby się krzyżowawały z sobą.

(*D. n*).



Ubrania dla dzieci od lat 2—9.

N. 34. Ubranie z bluzką dla chłopca lat 5—6. N. 35. Ubranie marynarskie dla chłopca lat 7—9. N. 36. Sukienka dla dziewczynki lat 7—9. N. 37. Sukienka aksamitna dla chłopczyka lat 2—4. N. 38. Sukienka wycięta dla małego dziecka.